Korzeniowski, Józef
Karpaccy górale

WIELKA BIBLJOTEKA
NR. 36

JÓZEF KORZENIOWSKI

ARPACCY GÓRALE

DRAMAT W TRZECH AKTACH



WARSZAWA
STYTUT WYDAWNICZY »BIBLJOTEKA POLSKA«

KARPACCY GÓRALE

JÓZEF KORZENIOWSKI

KARPACCY GÓRALE

DRAMAT W TRZECH AKTACH

Nyma ryby w Czeremosi,
Wsiu pojiła szczuka;
Powisyły Tychończuka
I Rewizorczuka.
Pieśń gminna góralska.



WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA"

Tekst opracował według wydania z r. 1843
Dr. Stefan Vrtel-Wierczyński.



Zakłady graficzne Instyt. Wydawniczego „Biblioteka Polska" w Bydgoszczy.

OSOBY:

ANTOŚ REWIZORCZUK, młody góral
MARTA, jego matka
PRAKSEDA, jego narzeczona
MAKSYM TYCHOŃCZUK *), stary góral, wuj Praksedy
PROKOP, strzelec rządowy
ANNA, jego żona
HERSZKO, arendarz w miasteczku, niedaleko ode Lwowa
FELDFEBEL
MANDATARJUSZ we wsi góralskiej Żabie
KOMISARZ cyrkularny z Kut
OFICER od piechoty
GÓRALE starzy i młodzi różnej płci.—Opryszki, żołnierze.

Scena odbywa się w Karpatach, między wsią Żabie i węgierską granicą po Czeremoszu.

---

*) W pierwodruku: Maksym Tychończyk.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Miejsce przed karczmą we wsi Żabie.

Huculi, kobiety i dziewki w świątecznych sukniach; starcy siedzą przy stole, młodzi koło kobiet i dziewcząt, różnie ugrupowani. Ubiór mężczyzn następujący: opięta kurtka bez rękawów, barankowa, włosem na spód, pas szeroki, nabijany żółtemi goździkami; spodnie granatowe lub czerwone, na które spuszczona koszula; chodaczki lekkie skórzane, za pasem łyżka, nóż i para pistoletów; włosy długie, spadające w kędziorach na ramiona; kapelusz czarny, okrągły, z dużemi skrzydłami i z piórkiem; na ramionach płaszcz amarantowy, bez rękawów, niedosięgający do kolan, po brzegach czarnym sznurkiem wyszyty, takimże sznurkiem zawiązany pod szyją. Starzy jednakowo odziani, jak i młodzi. U każdego, bez różnicy wieku, na lewej ręce toporek. Kobiety ubrane, jak Galicjanki. U dziewek w końce warkoczów, zarzuconych na wierzch głowy, wplecione białe kosteczki i amarantowe tasiemki lub wstążki, poza uszy spuszczone, spadają na piersi; rękawy u koszul wyszywane; koszule bez kołnierzów, ale wysoko pod szyją ściągnięte; mnóstwo paciorek i koralów z dukaczem. Przy otwarciu kortyny słychać nutę znanej kołomyjki przy akompanjamencie fletu).

CHÓR: *(kończy pieśń)*

Już wam więcej nie zadzwonią
Dzwony Kołomyi.

MAKSYM: *(powstaje od stołu i wychodzi na środek)* Ej! Przestańcie, do licha! Ja tej pieśni cierpieć nie mogę. Ona zawsze coś złego przepowiada.

PRAKSEDA: Czemuż to, wujciu Maksymie?

MAKSYM: A ot czemu! Gdy mnie brali w rekruty, jakiś djabeł wówczas tę pieśń mi zaśpiewał. Za to też piętnaście lat nosiłem karabin i ubierałem się codzień w czarne kamasze. Teraz, gdy mię Niemcy wypuścili, daj im Boże zdrowie, i pozwolili obaczyć swoje jodły i połoniny, nie chcę, żeby mi się nawet śnił biały mundur. Hej! Fediu! Chodź tu! Ty moją mi piosnkę zagraj, a ja stary wam zaśpiewam po swojemu.

(Fedor występuje z fletem, inni grupują się koło niego, Maksym śpiewa)

Czerwony płaszcz, za pasem broń,
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!

Gdy świeży liść okryje buk,
I czarna góra sczernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg —
Odżyły nasze nadzieje!

Pękł rzeki grzbiet, poplynął lód,
Czeremosz szumi po skale;
Nuż w dobry czas, kędziory trzód
Weseli kąpcie górale!

Połonin step na szczytach gór;
Tam trawa w pas się podnosi,

Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato,
Tam runom ich pozwólcie rość,
Tam idźcie na całe lato.

A, gdy już mróz posrebrzy las,
Ładujcie ostrożne konie;
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy dłonie.

CHÓR:

Czerwony płaszcz, za pasem broń,
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!

STARZEC: Dziękujemy, Maksymie, dziękujemy. Prawdęś powiedział. Tak zawsze bywało, i dobre były czasy.

JEDEN Z MŁODYCH: Alboż teraz złe, ojcze? — Spojrzyjcie na nas, czy to my nie zuchy? A tu spojrzyjcie, czy to nie jagódki?

(chwyta za ręce jedną z dziewek i pokazuje ją starym, ona się wykręca i ucieka)

STARZEC: Prawda, chłopcze! Dla was to i teraz czasy dobre, ale dla was także mogą być i złe. Nam starym już wszystko jedno.

MŁODY: Będzie, co Pan Bóg da, ojcze!

MAKSYM: Dobrze mówisz. Lubię cię za to. Będzie co Pan Bóg da. A teraz, kiedy piosenkę pochwalili, szynkarko, daj wódki! Ja zapłacę. *(pije)* Dobra! Dajże jeszcze i ojcom. Pijcie, ojcowie, za zdrowie tych zuchów i tych jagódek!

MŁODZI: Dziękujemy.

PRAKSEDA: *(przystępuje i głaszcze go pod brodę)* I my dziękujemy, wujciu Maksymie!

MAKSYM: A nu, dzieci, czyj tu topór najlepszy? Kiedyś, nim mię wzięli w kamasze, nikt się nie śmiał próbować z Tychończukiem, a teraz Bóg wie. Precz! Odstąpcie! Wiele kroków do tego drzewa?

KILKA GŁOSÓW: Z dziesięć.

MAKSYM: Dziesięć — dobrze. Ale pierwej po dawnemu. Dawajcie tu kapelusz. Kto chce ze mną rzucać?

KILKU: Ja — i ja — i my.

MAKSYM: Dobrze, dobrze. Ochota gorsza od niewoli. A będzie wam wstyd, jak was stary zwycięży. Praksedo, trzymaj! *(daje jej trzymać kapelusz)* Rzućcie tu każdy po pięć krajcarów. Kto odetnie tę oto gałąź o dziesięć kroków, wszystko, co w kapeluszu, to jego.

PROKOP: Czekajcie! *(rzuca cwancygiera)*

PRAKSEDA: Oho! Jaki szczodry! Cwancygiera rzucił.

PROKOP: Nie turbuj się, moja miła! Wróci on do mnie.

PRAKSEDA: Może i wróci, bo najlepszego między wami niema.

PROKOP: I któż to ten najlepszy? He?

PRAKSEDA: He! Nibyto ty nie wiesz, o kim ja mówię. Gdyby on tu był, jabym swoje korale i swego dukacza wrzuciła.

PROKOP: Dla mnie?

PRAKSEDA: Jutro rano — dla ciebie.

MAKSYM: Czy to twój Antoś Rewizorczuk taki zuch? O! Patrzcie, jak poczerwieniała — pewnie zgadłem. *(Prakseda daje znak potwierdzenia z figlarnym uśmiechem)* Kiedy tak, zaczekajmyż na Antosia.

PROKOP: A toż znowu co? Gromadzie czekać na jednego? Starszym na młodzika?

MŁODY: Nie do smaku mu topór Antosia.

PRAKSEDA: Cwancygier, to pieniądze.

KILKU: Boi się.
PROKOP: Nu, czekajcież, jeżeli chcecie. *(na stronie)* Przeklęty młokos!
MŁODY: Niedługo będziecie czekać — patrzcie — otóż i on!
ANTOŚ: *(wchodzi szybko)* Co się tu robi? Co ty masz w ręku, Praksedo?
PRAKSEDA: Potrzymaj, Antosiu! *(daje mu kapelusz, sama zdejmuje korale i rzuca)* Tylko mię nie zawiedź, niech cię Pan Bóg broni! *(grozi)*
ANTOŚ: Co to znaczy?
MAKSYM: Zakład, Antosiu! — Kto tę gałęź odetnie o dziesięć kroków, weźmie wszystko, co w kapeluszu.
PRAKSEDA: I moje korale — pamiętaj!
ANTOŚ: Zgoda — tylko o dziesięć, to mało; o dwadzieścia.
PROKOP: I ja o dwadzieścia.
INNI: I my, i my.
ANTOŚ: Staremu można i o dziesięć.
MAKSYM: Nie chcę. I ja, jak wszyscy. Nie trafię — powiecie, że stary, i basta. Trafiłbym o dziesięć, tobyście powiedzieli: niewielka sztuka. Nie, nie chcę. A potem wziąłbym korale Praksedy, które pewnie nie dla mnie.
PRAKSEDA: Nie dla ciebie, wujaszku, nie!
MAKSYM: Odmierzcie kroki. Ja zaczynam.
(odmierzają — Maksym staje i rzuca topór)
WSZYSCY: Chybił!
STARY: *(za stołem)* Chodź, bracie Maksymie, do nas za stół. Już to nie nasza robota.
KILKA GŁOSÓW: Któż teraz?
MAKSYM: Niech Prakseda naznacza.
ANTOŚ: Praksedo, mnie naostatku.
PRAKSEDA: *(woła)* Fedio!
KILKU: Chybił!

PRAKSEDA: Czarny! *(ten rzuca)*

INNI: Chybił!

KILKU: To za daleko! My nie chcemy.

PROKOP: Puszczajcież mnie! Praksedo, wołaj!

PRAKSEDA: Strzelec, zausznik mandatarjusza! *(Prokop występuje)* Ach, to wy, Prokopie?

(wszyscy śmieją się, Prokop rzuca topór)

JEDEN Z MŁODYCH: Zadrasnął gałąź, ale nie odciął. Szkoda!

PRAKSEDA: Szkoda cwancygiera. Może go pan mandatarjusz dał za jakie porządne kłamstwo.

ANTOŚ: Milcz, Praksedo!

PROKOP: I ja mówię: milcz! Teraz się śmiejesz, wkrótce możesz płakać.

ANTOŚ: Tylko jej nie groź! Ona moja — a ja, ty wiesz o tem, nie zaraz się zlęknę. — No, Praksedo!

PRAKSEDA: Antoś! *(pokazuje mu z umizgiem korale)*.

PROKOP: Czekajcie! A jeśli i on nie odetnie! Mój topór drasnął gałąź.

WSZYSCY: Starzy rozsądzą.

PRAKSEDA: *(tupa nogą)* Obejdzie się. — Któż wam powiedział, że nie odetnie?

ANTOŚ: Nabok! *(rzuca topór — Niektórzy biegną i przynoszą gałąź)*

MŁODY: Patrzcie — jak brzytwą odciął.

(Prakseda rzuca mu się na szyję. Antoś oddaje jej korale. Ona wydobywa cwancygiera, pokazuje go strzelcowi, który przy śmiechu innych odwraca się)

ANTOŚ: Gosposiu, za te wszystkie krajcary piwa! Pijcie, chłopcy! Kto wie, co jutro będzie? Dzisiaj nasze, a jutro może być cesarskie. *(pije, potem porywa Praksedę)* Fediu, graj! *(tańcuje)*

MŁODZI : *(niespokojnie zatrzymują go)* Przestań, Antosiu! Powiedz — ty coś wiesz.

ANTOŚ: Pewnie, że wiem. Posłuchajcie. Byłem w Jaworowie. Tam spotkałem znajomych panów, którzy jadą do Burkutu. Przeszłego lata służyłem im. Dobrzy to panowie! Ja ich lubiłem i oni mnie lubili. Chodzili ze mną na wyścigi na Czarną Górę, oni na koniach, a ja piechotą. Niejednego cwancygiera dali mi za to, żem spuszczał jodłę z góry, rzucał za nią topór, doganiał ją, i, uchwyciwszy za toporzysko, zatrzymywał na miejscu. Wszak i wy to umiecie.

MŁODZI: No, to nie każdy potrafi.

PROKOP: Ale cóż ci oni powiedzieli?

ANTOŚ: Oho, ciekawy jesteś! Wasze żniwo się zbliża. Tyś strzelec, ale ty nie wyciągasz lisa z nory, nie ścigasz sarny po jarach, nie mocujesz się z niedźwiedziem na połoninach; ty, bratku, łowisz Hucuła i oddajesz go Niemcom. Idź precz! Co ja im powiem, to tobie na ucho powie mandatarjusz.

PROKOP: Może już i powiedział.

JEDEN Z MŁODYCH: Antosiu, zmiłuj się, co oni ci powiedzieli?

DRUGI MŁODY: Mów, dla Boga, bo mi się zdaje, że już niemiecka ręka łaskocze mię po szyi.

ANTOŚ: Ot, co powiedzieli. Pan Jan Melbachowski, jak mię obaczył, rzekł: — „A co, Antosiu, bieda niedaleko? U nas już biorą rekrutów."

MŁODZI: Rekrutów!

KOBIETY: Rekrutów!

DZIEWKI: Rekrutów! — Ach, mój Boże!

ANTOŚ: „Mandaty już i do nas posłane" — mówił panu Janowi krejshauptman w Kołomyi. — „Strzeż się, Antosiu! Szkodaby ciebie" — rzekła pani Melbachowska. Ja odpowiedziałem: — Wola boska, wola cesarska, wielmożna pani! Ale ja się nie boję; mnie prawo broni: jam jeden u matki.

PROKOP: *(na stronie)* Niewiele ci to pomoże.

PIERWSZY MŁODY: Szczęśliwyś, Antosiu! A ja nie jedynak.

DRUGI MŁODY: Djabeł tam będzie jedynakiem, kiedy potrzeba. U mnie braci i sióstr, jak jagniąt w oborze.

INNI: Źle! Źle!

MAKSYM: *(odprowadza ich na przód sceny)* Tyś niejeden u matki, a ty niejeden u ojca.

KILKU: Oj, nie, Maksymku!

MAKSYM: I cóż stąd? A patrzcie no, chłopcy, co to tu wokoło.

KILKU: A cóż ma być? Góry.

MAKSYM: A w górach puszcze, w których noga żadnego Niemca nie była; a w górach skały i urwiska, że możesz leżeć pod kamieniem, i koło ciebie stu Niemców przejdzie, a żaden cię nie obaczy; a w górach jodły, jedna na drugiej od pięciudziesiąt lat zwalone, gdzie was nawet gończy pies nie znajdzie, nie dopieroż strażnik tabaczny. A co, głupie głowy? Wielka wam turbacja?...

MŁODY: Dziękujemy, Maksymie, za dobre słowo.

INNI: Chłopcy, nie traćmy czasu! Bywajcie zdrowi, ojcowie! Bywajcie zdrowe, matki! Bywajcie zdrowe, dziewczęta! *(wychodzą)*

STARZEC: Pora i nam do domu. Dziękujemy za piwo, Antosiu! *(wstają i rozchodzą się)*

ANTOŚ: *(pokazując na Prokopa)* Jemu podziękujcie, ojcowie! To jego cwancygier. Praksedo, idź ty do domu, ja pójdę do matki. *(wychodzą)*

DZIEWKI: *(wziąwszy się za ręce, śpiewając, odchodzą)*

Gdzieś daleko ich pogonią
Z łańcuchem na szyi,

Już im więcej nie zadzwonią
Dzwony Kołomyi.

(pieśń coraz dalej ginie — wszyscy się rozeszli — zostaje tylko Prokop, stojący na stronie w zamyśleniu)

PROKOP: *(po chwili)* Rób, co chcesz, — nic nie pomoże. Wychowaj razem psa z wilkiem — jak poczują siły, pogryzą się. Tyłu tu jest chłopców żwawych, młodych, którzy mnie, starszego, uważają; gdy między nich wejdę, pokłonią się i poczęstują. Z nimi to mnie dobrze, mogę pogadać i poweselić się. Ten przeklęty młokos, jak tylko przyjdzie, podniesie głowę, nos zadrze i zgóry na mnie popatrzy, zaraz mi się tak robi, jakgdyby nam dwom na świecie bożym było ciasno. — I djabli go wiedzą, za co go wszyscy tak uważają? Gdzie się pokaże, każdy zaraz na niego obraca oczy. Niechże dziewki — no, nie dziw: dwadzieścia trzy lat, rumiane lice, czarny wąsik, bujne kędziory! Ale czemuż i starzy słuchają, kiedy mówi? *(po chwili)* — Rekruty! Hm! — Gdyby to ostrzyc go, jak barana, odjąć mu ten przeklęty topór, gdyby to wetknąć mu w rękę karabin i oblepić ciasnym mundurem, żeby wyglądał, jak pobielany Niemiec! Hej! Toby dobrze było, ażby mi lżej się zrobiło na sercu. *(zastanawia się)* Ale cóż? Trudno, trudno. Nie da się i dziesięciu; a przytem onże jeden u matki. — Ale otóż i pan mandatarjusz. On na to niechaj znajdzie radę. Oho? Musi coś wiedzieć, bo idzie pomaleńku i gębą rucha. On, jak wół: kiedy się czem dobrem napasie, spokojnie leży i przeżuwa — tylkoby popijał.

MANDATARJUSZ: *(wchodzi zwolna)* A co, Prokopie?

PROKOP: Nie wiem, wielmożny panie!

MANDATARJUSZ: A ja wiem; to jest: mandat przyszedł z cyrkułu, albowiem kazano brać rekrutów.

PROKOP: Rekrutów? — A skąd ich wziąść, wielmożny panie?

MANDATARJUSZ: Jakto, skąd ich wziąć? — Albowiem, że u nas mało chłopaków, to jest, zdatnych nosić karabin? — Każ mi wynieść piwa!

PROKOP: *(stuka w okno do karczmy i podaje kufel z piwem)* Prawda, wielmożny panie, — ale gdzież oni? Ani jednego nie znajdziesz.

MANDATARJUSZ: *(popijając)* Od czegoż wy, to jest, strzelcy rządowi? Albowiem inni Huculi robią pańszczyznę, to jest dwanaście dni na rok, czepiają się po górach, walą jodły i robią tratwy. Wam nie potrzeba spławiać się do Kut, byleście spełniali moje rozkazy, to jest mandata. Od tego ja, mandatarjusz, żebym wam kazał brać rekrutów; od tego wy, strzelcy, żebyście ich zwietrzyli i wzięli. A co?

PROKOP: Wszystko to prawda, wielmożny panie, kiedy chłopcy nic nie wiedzą, kiedy można na nich napaść, jak na lisa w jamie. Ale, kiedy się rozbiegną po górach, pozałażą w nory, jak krety, pochowają się w szpary skał, jak jaszczurki, poprzylepiają się do jodel, jak dzięcioły, jaki djabeł ich wtenczas znajdzie?

MANDATARJUSZ: Skądże wiedzą, to jest, kto im powiedział?

PROKOP: Któż zawsze wszystko wie, jeśli nie panowie, co do Burkutu jadą? Któż zawsze z panami, jeśli nie Antoś Rewizorczuk? Ot, i dziś przyszedł z Jaworowa i dawaj trąbić tu, gdzie wszyscy byli, i pili, i śpiewali, że mandat już posłany.

MANDATARJUSZ: To jest do mnie?

PROKOP: Tego on nie powiedział, wielmożny panie!

MANDATARJUSZ: A widzisz go! Hultaj! — Albowiem do kogoż miał przyjść mandat z cyrkułu? He?

PROKOP: Zapewne, że... Ale on ani wspomniał wielmożnego pana. Ot tak, jakgdyby tu wielmożnego pana

ani było, rozpowiedział wszystkim. Moje chłopcy, widząc, że nie przelewki, dalej w nogi w góry co do jednego.

MANDATARJUSZ: To źle, to paskudnie. — Każ-że mi dać piwa!

PROKOP: *(na stronie)* Bodaj cię djabli wzięli! Wszystko to ja zapłacę! *(głośno)* Wielmożny panie!

MANDATARJUSZ: *(wypróżniwszy kufel)* Albowiem co?

PROKOP: Tak, jak on sam rozegnał sposobnych chłopaków, tak niech sam idzie. U nas tu nigdy nie będzie posłuszeństwa, ani uszanowania dla starszych, póki on tu będzie. Zdarza się, że się ludzie poswarzą, poczubią tak, iżby z tego mogła się śliczna sprawka wytoczyć przed sąd wielmożnego pana. Nic z tego. Gdzie kłótnia, tam i on; przyjdzie, słowo powie i — zgoda. A czyż to jego rzecz kłótnie godzić? Czy to do niego należy sądzić, czy do mandatarjusza?

MANDATARJUSZ: Albowiem naturalnie do mandatarjusza.

PROKOP: Kiedy tu, naprzykład ot, jak dziś, w niedzielę, lub we święto, siedzą przed karczmą starzy, młodzi, kobiety i dziewki, patrzaj, niech się tylko pokaże, wszyscy na niego wytrzeszczają oczy, każdy się mu pokłoni, każdy powita. Czyż to jemu tu powinni się wszyscy kłaniać?

MANDATARJUSZ: *(czupurząc się)* Naturalnie, że nie jemu.

PROKOP: Kiedy przyjdzie gdzie którego posłać: ot naprzykład, kiedy jaki pan z cyrkułu jedzie do Burkutu i trzeba mu dać ludzi do posługi, chodzisz, wołasz, każesz, mówisz, że pan mandatarjusz kazał — nie słuchają: niema, daśby. Niechże jedzie jaki pan, jego znajomy, a on tylko piśnie, oho, dwudziestu Huculów z końmi jawi się prędzej, niż *Ojcze nasz* zmówisz!

MANDATARJUSZ: Hm! To on taki? — Każże mi dać piwa!

PROKOP: Dziś, naprzykład, gadał, że on jedynak, że on sobie żartuje z mandatu i z mandatarjusza.

MANDATARJUSZ: Niechże z mandatu, ale z mandatarjusza? O, hultaj!

PROKOP: Jego koniecznie, wielmożny panie, potrzeba oddać w rekruty.

MANDATARJUSZ: To jest, masz racją, oddać, koniecznie oddać.

PROKOP: Cóż stąd, że on jeden u matki? Można napisać, że hultaj, że rozgania rekrutów, że z Węgier kontrabandę przekrada, że strażników bije.

MANDATARJUSZ: Że z mandatów się naśmiewa.

PROKOP: Że nie słucha swojej zwierzchności.

MANDATARJUSZ: Że jego wszyscy słuchają, a nie mandatarjusza.

PROKOP: Może wielmożny pan każe sobie dać jeszcze piwa?

MANDATARJUSZ: To jest, dawaj, a jego bierz! Już ja sam napiszę relację.

PROKOP: Dobrze, wielmożny panie. — Trzebaż mi się gracko zwijać, żeby go schwytać. To istny niedźwiedź — żeby czasem jego pazury nie ugrzęzły w mojej głowie.

MANDATARJUSZ: Idź, postępuj *caute et prudenter;* a ja tymczasem pójdę i trochę się położę, albowiem interesa rządowe zmęczyły mię.

(rozchodzą się)

SCENA II.

Izba w chacie Antosia.

MARTA: *(stojąc we drzwiach)* Ej, synu, ej, Antosiu! Moje ty oko w głowie!

ANTOŚ: *(wchodzi)* Co, dobra matko?

MARTA: *(całuje go)* Jakżem ja dawno ciebie nie widziała!

ANTOŚ: Pięć dni, matko! Czy to tak wiele?

MARTA: Dla matki pięć godzin za wiele, a ty tego nie pojmujesz. *(uderza go zlekka po twarzy)* O niewdzięczniku!

ANTOŚ: Matko, ja was kocham więcej, jak siebie, więcej, jak życie, więcej, jak Praksedę.

MARTA: Mój ty gołąbku! Moje ty złoto! Ja wierzę twojemu sercu; i ty wiesz, że bez ciebie dusznoby mi było na świecie. — A jaka głowa gorąca! Siądź, mój kotku! Zmęczyłeś się.

ANTOŚ: Biegłem prędko, kochana matko! Pięć dni was nie widziałem.

MARTA: A mówiłeś, że to niewiele. Widzisz, kłamco!

ANTOŚ: Biegłem do was i do Praksedy.

MARTA: *(zdejmuje z niego płaszcz)* Dobra dziewczyna! Niech was Bóg błogosławi! Dajże i te pistolety; one cię gniotą. *(wyjmuje pistolety i kładzie zdaleka na ławie)*

ANTOŚ: Nie, matko! Broń nie cięży góralowi, a topór zrósł się z jego ręką.

MARTA: *(odsuwa topór po ławie i siada)* Teraz ci niepotrzebny. Siądź tu, synku! Połóż głowę na moich kolanach — ot tak! *(Antoś siada na niskiej ławeczce, tyłem do drzwi środkowych, kładzie głowę na kolanach matki, przymyka oczy i po chwili zasypia)* Widzisz, hultaju! Pięć dni biegałeś po górach, a, gdyś powrócił, pierwej pobiegłeś do karczmy, niż do domu, bo ci pilniej było widzieć Praksedę, niż mnie. A ja tak dawno głowy twojej nie czesałam, tak dawno nie całowałam twoich kruczych włosów! *(bawi się jego kędziorami — w tymże czasie Prokop i inni strzelcy pokazują się we drzwiach otwartych i kryją się w cichości, oczekując chwili)* Moja ty miła

główko! Jabym oczy wydarła temu, ktoby cię pozbawił jednego włoska. Ale wara komukolwiek ściągnąć do tych kędziorów. Dałam memu dziecku silną rękę i śmiałe serce. Wiedzą ludzie, jaka matka cię urodziła. Kto tylko spojrzy ci w oczy, kto posłyszy twój głos, każdy mówi: „To orzeł karpacki.“ *(przysłuchuje się)* Ale cóż to? — Oddech jego głośniejszy — milczy — zasnęło biedne dziecią̨tko moje. Daj ci, Boże, zdrowie, moja ty pociecho! *(nachyla twarz ku jego głowie, i, objąwszy ją zlekka rękami, milczy — w tejże chwili strzelcy wchodzą cicho, opadają Antosia i krępują go sznurami — jeden z nich rzuca się na jego broń i jej pilnuje)*

MARTA: *(zrywa się z krzykiem)* O wy rozbójniki!

ANTOŚ: *(potrząsa się, oni odskakują i znowu go chwytają)* Czego chcecie ode mnie?

PROKOP: Pójdziesz, bratku, nosić karabin — nic więcej.

MARTA: Co? Karabin? Memu dziecku karabin? Nie doczekacie tego! Jakiem prawem, kiedy on u mnie jeden, jak jedno słońce na niebie! Oj, ty, psie gończy! Tyś zawsze na niego naszczekiwał.

PROKOP: Teraz już nie będę, matko! Już niedźwiedź związany, jak baran. Nie turbujcie się; będzie z niego dobry żołnierz.

ANTOŚ: Głupcze, za wcześnie się radujesz. Nie bój się, matko! Prawo wyraźne i wszystkim wiadome; oni go nie skręcą i nie połkną. Jam jedynak — puszczajcie mnie. *(szarpie się, ale napróżno)*

PROKOP: Oho! Jakiś ty rozumny, jak mandatarjusz! A tego nie wiesz, że ciebie opisali, jak hultaja: żeś rozpędził wszystkich rekrutów, że przekradasz tytoń...

ANTOŚ: Rozwiąż mi ręce i wtenczas mi to powiedz!

PROKOP: Nie głupim.

ANTOŚ: Matko, jam cię tak kochał, a tyś mi odebrała

broń i topór, tyś mię ukołysała na kolanach i śpiącego w ręce ich oddała.

MARTA: Ach, ja nieszczęśliwa!

PROKOP: Dalej z nim! — Prowadźcie go!

MARTA: *(rzuca się na szyję syna)* Z moich rąk nikt go nie weźmie! Czyście wy zapomnieli, że dla mnie bez niego niema dnia, niema nieba? Odważcie się odedrzeć go ode mnie, jeśli chcecie, aby moje pazury w oczach waszych utonęły! Ja was przeklnę! — Puszczajcie go!

PROKOP: Puszczaj go ty sama, głupia starucho! Pożegnaj się z nim; już on nie twój.

MARTA: On nie mój? Chyba ta ręka, którą mię szarpiesz, nie twoja; chyba ten psi język, którym skłamałeś, także nie twój. Trzymaj się mnie, synu, trzymaj się, moje dziecko, jakeś się trzymał wówczas, nimeś przyszedł na świat! Niech nas razem wleką! Są starsi od tych hultajów, co może zrozumieją głos matki. To są psy, — tam to może ludzie i uczują po ludzku.

PROKOP: Ej, dosyć tego! Precz, stara czarownico! *(odrywa jej ręce — gdy to nic nie pomaga, chwyta za włosy i odciąga — Marta pada, chce się jeszcze podnieść, on ją nogą potrąca i woła)* Nuże, mazgaje! Czego czekacie? Prowadźcie go!

ANTOŚ: *(z rozpaczą)* Ha! — No, prowadźcie mnie! Ty, matko, bądź zdrowa, czekaj na mnie! *(do Prokopa)* Ale i ty mnie czekaj — do ciebie to pewno wrócę!

PROKOP: Dobrze, dobrze — obaczymy.

(wychodzi za nimi)

MARTA: *(po chwili podnosi się na kolana)* Co się tu stało? Jak mi ciemno w oczach! *(ogląda się wokoło)* Och! Wzięli go! Cóż począć? Pobiec za nimi, wydrzeć go z ich rąk? — Oj, daremnie! Pójść do starszych, zawołać: Oddajcie mi syna! Krzyknąć tak, aby ten krzyk matki Bóg w niebie usłyszał i serca ich zmiękczył —

i to daremnie! — Oni wszyscy z kamienia. Przeklęte, opłakane życie! Niema nikogo, coby się nad starą kobietą zmiłował, coby ukarał matkę, która sama swojego jedynaka w ręce zbójców oddała. Zlitujcie się! Zabijcie mnie! *(pada wtył twarzą do ziemi)*

PRAKSEDA: *(wbiega)* Matko! Matko! Co to ja słyszę? Gdzie on?

MARTA: *(podnosi głowę)* Ach! Gdzie on? — Teraz dopiero przychodzisz? Wtenczas trzeba było przyjść, kiedy go brali, i nie dać; trzeba było zębami przegryźć jego sznury, podać mu w ręce topór, żeby im łby rozpłatał. Wzięli go, powiadam ci, związali, w rekruty poprowadzili.

PRAKSEDA: O ja nieszczęśliwa!

MARTA: *(powstaje)* A tak, teraz nieszczęśliwa! A czemuś tam koło karczmy została, czemuś myślała o tańcach? Chciałaś, żeby cię pochwalili, wtenczas, kiedy z rąk matki brali syna, kiedy tobie wydzierali kochanka i męża? Znajdziesz ty drugiego takiego, powiedz, ha? Choć nie takiego ty może znajdziesz; dla matki tylko on był jeden i jedyny.

PRAKSEDA: *(ocierając łzy)* Cicho, matko! Nie płacz! Strata nasza jest równa, ale nierówne siły. Słuchaj mię: ja ci go przyprowadzę, ja ci go oddam. Bóg mię skarze, jeśli wplotę choć jedną wstążeczkę we włosy, jeśli choć jedna paciorka będzie na mojej szyi, jeśli skosztuję choćby ziarnko soli póty, póki ci go, matko, nie wrócę, nie oddam.

MARTA: *(pieści ją)* Praksedo! Duszko! Rybko moja! Moja ty śliczna czarnobrewa! O, idź, idź, odbierz go od nich! Albo nie — słuchaj! Zakradnij się tylko cicho i rozwiąż jego sznury, a obaczysz, jak on ich głowy o skały roztrzaska. *(po chwili)* O Boże mój! Mnie się w głowie miesza! Wszystko to naprózno. Chodź tu, moja córko! Ty teraz moje jedyne dziecię.

PRAKSEDA: *(płacząc)* Matko! Jakże to było?

MARTA: Ot patrzaj, jak to było! On tu siedział, a ja tak usiadłam i położyłam jego głowę na kolanach, i pierwej jeszcze ja sama, ja, odebrałem mu pistolety, odsunęłam tam jego topór. On biedak był zmęczony; dobrze mu było na kolanach matki, i zasnął; a oni tymczasem weszli cicho, jak dzikie koty, i orła mojego schwycili.

(zakrywa się)

MAKSYM: *(wchodzi)* Oj, matko, matko, ciężka twoja bieda.

MARTA: Ach, to wy, kumie? Wzięli go.

MAKSYM: Wiem, matko, wiem! Widziałem, jak im było pilno. Czem prędzej okuli go w kajdany i na tratwie odprawili do Kut.

MARTA: Co? W kajdany mego jedynaka? To nieprawda! Puszczajcie mnie! Ja pójdę sama!

MAKSYM: Bóg z tobą! On już w Krzyworówni. Dziś w wieczór będzie w Kosowie. Czeremosz pełny, szumi, pieni się i poniósł bystro twego syna. Nie tobie, starucho, zbiec z jego falami. Uspokój się! I rzeki nie uprosisz. żeby się zatrzymała, i ludzi nie umodlisz, żeby rozkuli jego kajdany.

PRAKSEDA: Matko! Wujciu! Posłuchajcie mnie! Ja młoda i niedoświadczona; oprócz wierzchołków gór naszych nic jeszcze nie widziałam na świecie. Ale ja go kocham. Matko, dla mnie i dla ciebie bez niego niema życia na ziemi i dlatego moja rada będzie dobra. Czego zabraknie głowie, to doda serce; bo, choć tu mało, ale tu pełno; jest miłość, jest śmiałość, jest potrzeba mieć go, lub umrzeć. Matko, jam ci się zaklęła, że ci go oddam, i tak będzie; tylko mnie puszczajcie i nie mówcie nikomu, gdziem poszła. Powiedzcie, żem pobiegła w góry, rzuciła się ze skały i głowę sobie rozbiła o kamienie. Ludzie uwie-

rzą, bo wiedzą, że ja szalona i że on wart takiej miłości. A ja tymczasem pójdę. Choć ziemia ich szeroka, ale nogi moje zdrowe i oko bystre. Ja go znajdę, i ty, matko, będziesz go miała.

MARTA: Praksedo, moje ty zdrowie! O, biegnij prędko, żeby go gdzie daleko nie zabrali!

MAKSYM: Słuchaj, Praksedo! Serce twoje dobre, ale rozum twój krótki. Czy ty wiesz, wiele u nich ziemi? Czy wiesz, dokąd go poślą służyć? Czy wiesz, jakim językiem tam mówić będą, gdzie on będzie tęsknił za matką i za tobą? Wieszże ty, dziewczyno, wiele u nich ludzi nosi karabin i jak jednego między stem tysięcy wyszukać? — Oj, głupia głowo! Pójdziesz i przepadniesz, i nogi schodzisz, i oczy wypatrzysz, i wszystko darmo. Ale chęć twoja dobra i myśl rozumna. Pójdziesz, dziewczyno, ale pójdziesz ze mną. Jam ich kraje wszerz i wzdłuż przewędrował i wiem, jak w armji dopytać się żołnierza.

MARTA: Kumie, o, Bóg wam zapłaci! Mnie tak siły opadły, że wam i dobrem słowem podziękować nie mogę.

(siada i płacze)

PRAKSEDA: Wujciu, ty doprawdy chcesz iść ze mną?

MAKSYM: Oho, czym to ja cię kiedy oszukał?

PRAKSEDA: *(rzuca mu się na szyję)* Wujciu! Mój złoty, mój najmilszy! O, prędzej, prędzej chodźmy!

MAKSYM: Chodźmy, kochana dziewko! Bywaj zdrowa, matko! Bądź cierpliwa i ufaj w Bogu!

PRAKSEDA: *(pada jej do nóg)* Matko, błogosław!

(Marta ją żegna).

ZASŁONA SPADA.

AKT DRUGI.

SCENA I.

Izba w karczmie pode Lwowem.

Wchodzi HERSZKO *ze świeczką w ręku, za nim* MAKSYM *i* PRAKSEDA, *przebrani, jak miejscowi chłopi; oboje z tłumoczkami na plecach; u Maksyma za pasem topór.*

HERSZKO: Nu, dlaczego nie można przenocować? U mnie tu różni nocują, u mnie wszyscy panowie nocują, jak jadą do Lwowa.

MAKSYM: Dziękujemy, panie arendarzu! Nam niewielki kącik na ławie, aby gdzie głowie trochę odpocząć.

HERSZKO: Ot tam sobie przysiądźcie! Chyba jak przyjedzie jaki pan, to pójdziecie do drugiej izby. Trzy dni temu pan Skarbek u mnie popasał i mówił, że nazad będzie nocował. On pojechał na imieniny do pana Aleksandra Fredra. Ty słyszał co o panu Fredro?

MAKSYM: Nic, panie arendarzu, nic nie słyszałem.

HERSZKO: Nu, jakto? Za sto lat wszyscy będą znali pana Aleksandra Fredra, a u was o nim teraz nie gadają? Nu, skądże ty?

MAKSYM: Ja z Berezówki, cieśla, a to moja córka. Idziemy za robotą.

HERSZKO: I u nas może się znaleźć robota. Czego daleko szukać roboty? Kto chce robić, zawsze znajdzie robotę; kto chce psa uderzyć, zawsze kija znajdzie.

MAKSYM: Ta, my to, panie arendarzu, nie lubimy próżnować.

HERSZKO: Kto nie lubi próżnować, tego bankocetle lubią i trzymają się, jak koszula ciała.

MAKSYM: Pan Bóg dał, panie arendarzu—głodu się nie boimy. Ot, dajcieno mnie dobry kieliszek wódki i zakąskę, a mojej dziewce kawalek chleba i śmietany każcie przynieść! Gotować wieczerzę już późno.

HERSZKO: Jakże nie późno? — Już dziewiąta godzina.

(nalewa mu wódkę)

MAKSYM: A stoi tu u was komenda, panie arendarzu?

HERSZKO: Jakto nie stoi? Kradną tak, że wszystkie kury z jajkiem i z pierzem, ze wszystkiem wezmą.

MAKSYM: U was tu bataljon z regimentu księcia Lichtensteina?

HERSZKO: Nu, tak. Major dobry człowiek; co kapitan i porucznik — niechaj ich djabli biorą!

PRAKSEDA: Ach, ojcze, może on tu?

HERSZKO: A kto taki?

MAKSYM: Młody żołnierz — krewny.

HERSZKO: Może on tu, a może on nie tu, abo ja wiem.

(FELDFEBEL *wchodzi)*

Ot, jego spytajcie, on feldfebel, to musi wiedzieć, czego wam potrzeba.

PRAKSEDA: *(cicho)* Ach, wujciu, mnie tak straszno! *(siada)*

FELDFEBEL: *(rumiany i otyły, z laską i karabinem; karabin stawia przy drzwiach)* Reb Hersz wi gec? — Hab acht — gib sznaps!

HERSZKO: Ne, ne, zaraz.

FELDFEBEL: Co za ludzie?

HERSZKO: At, robotnik z Berezówki; on tu nocuje.

FELDFEBEL: *(podchodzi marszem do Praksedy i szczypie ją za policzki)* A ta poziemka?

MAKSYM: *(staje między nimi)* Siądźcie tu, panie feldfebel! To moja córka.

FELDFEBEL: Saperment, jak krew z mlekiem! Ładną masz córkę, kumie!

MAKSYM: *(ciszej)* Nie brzydka, tylko nie trzeba jej tego mówić!

FELDFEBEL: Żeby od czystych słówek serce się nie powalało — ist richtig.

MAKSYM: Panie arendarzu, dajno tu za tego cwancygiera dobrej wódeczki. My tu sobie z feldfeblem pociągniem i pogadamy. — I ja to kiedyś byłem żołnierzem. Po Italji, po Węgrzech, po Tyrolu, wszędzie mię djabeł nosił.

FELDFEBEL: *(podaje mu rękę)* Kolega!

MAKSYM: *(uderza)* Kolega, panie bracie! — Teraz toporem buduję chaty, a dawniej bagnetem niejedną rozebrałem.

FELDFEBEL: *(pokazuje laską na karabin)* Więc i to znajomy?

MAKSYM: Przyjaciel, krewny *(bierze karabin i stawia do nogi)* Ano spróbuj, czy nie zapomniałem?

FELDFEBEL: *(wstaje)* Hab acht! Ins Gewehr! i t. d. *(skończywszy mustrę, ściska Maksyma)* Nu, kolega! Saperment! Siadaj, stary — napijem się razem i pogadamy. Dawno ci dali abszyt?

MAKSYM: Latek z pięć. — W ręce wasze! — To regiment księcia Lichtensteina?

FELDFEBEL: Bataljon karabinierów.

MAKSYM: W swojej kompanji, panie feldfebel, znasz wszystkich żołnierzy?

FELDFEBEL: Saperment! Jakiżby ja był feldfebel!

Ja tu kapitan i porucznik. Jak moje pięć palców, tak znam każdego z nóg do głowy.

MAKSYM: Niema tu czasem w waszej kompanji?... — Ale w ręce wasze!

FELDFEBEL: Dziękuję, — a kogo?

MAKSYM: Młodego żołnierza...

FELDFEBEL: U nas wszyscy młodzi. Porucznikowi, prawda, skończyło się wczoraj lat sześćdziesiąt, ale zresztą chłopcy, jak struny. Jak staną w linji, jest na co spojrzeć. — A jak się nazywa?

PRAKSEDA: *(do siebie)* Ach, Boże mój!

MAKSYM: Antoni Rewizorczuk.

FELDFEBEL: Jest, jest.

PRAKSEDA: *(słabnie i skłania głowę na stół)* Ach!

FELDFEBEL: *(śmieje się)* Pewnie krewny. — Oj, musi być bliski krewny, saperment!

MAKSYM: Fe, Praksedo!

PRAKSEDA: Nic już, nic, ojcze! — Sama nie wiem, co się ze mną stało.

FELDFEBEL: Potz-tausend! On będzie wasz zięć.

MAKSYM: Oj, byłby, byłby, panie kolego, gdyby go byli w rekruty nie wzięli. A teraz — cóż robić? Trzeba poczekać. — A dobrze się prowadzi?

FELDFEBEL: Oho! To perła między wszystkimi. Chłopak czysty, równy, jak młoda brzoza. Co każesz, ledwie powiesz, już zrobione. Za tydzień lepiej umiał karabinem wywijać, jak ja! A to nie mała rzecz, saperment! Za jedno mi się tylko nie podoba.

MAKSYM: Nie daj Boże co złego! Czy nie pije?

PRAKSEDA: Ach, ojcze, nie grzechże nam?

FELDFEBEL: Pfui, — nie. — Ale zawsze smutny; nigdy się nie zaśmieje, nigdzie nie wyjdzie z kwatery, tylko na służbę, — ale na służbę pierwszy.

PRAKSEDA: Biedny Antoś! — Ojcze, zapytajcie, gdzie jego kwatera?

MAKSYM: W ręce wasze, panie feldfebel! Za dobre nowiny o moim przyszłym zięciu pozwólcie wam podziękować. — Panie arendarzu, dajcieno tu tę flaszeczkę z karteczką. Co za nią?

HERSZKO: Jakto co za nią? — Dwa cwancygiery. To rarytna wódka. Ją zawsze panowie piją, jak u mnie popasują.

MAKSYM: Dobrze, dobrze — na! *(daje mu pieniądze)* Panie feldfebel, weźcie to! Przyda się czasem poczęstować gości.

FELDFEBEL: Chyba że od kolegi — inaczej... Saperment!

(chowa flaszkę)

MAKSYM: Zbieraj się, Praksedo! *(kładzie tłumoczek na plecy)* Panie feldfebel, nie mógłbyś nam pokazać jego kwatery?

FELDFEBEL: Z ochotą — ona niedaleko od mojej, i mnie po drodze. Ale jego teraz niema w domu.

PRAKSEDA: *(przestraszona)* A gdzież on?

FELDFEBEL: *(śmieje się)* Widzisz, jak się przestraszyła, jakby go o pięćdziesiąt mil odkomenderowali. Bodaj to być młodym! *(uderza się po brzuchu)* Mnie już się to nie zdarzy. Nie bój się, poziemko! On niedaleko. Tylko com rozwiódł wartę, i jego postawiłem przy magazynie za miastem.

MAKSYM: A magazyn ten daleko?

FELDFEBEL: Ej, nie — tam prosto ulicą, o kroków pięćset za miastem — wielki budynek na lewo.

(bierze karabin)

MAKSYM: Chodźmy, chodźmy, Praksedo!

HERSZKO: Ne, jakto? To już nie będziecie nocować?

MAKSYM: Nie, panie arendarzu!

HERSZKO: Nu, jakże to będzie? Do mnie byliby panowie zajechali.

MAKSYM: *(daje mu pieniądze)* Na, żydzie!

HERSZKO: Także mi waszeć gadaj.

FELDFEBEL: Reb Hersch, gut Nacht.

(wychodzi, MAKSYM *i* PRAKSEDA *za nim)*

HERSZKO: *(zamyka za nimi drzwi)* At, jaki mi wielki pan! Tfy! *(zdmuchuje świecę i wychodzi)*

SCENA II.

Wielki budynek w miejscu pustem.

Noc.

ANTOŚ: *(wchodzi, przechadzając się na warcie — potem staje i opiera się na karabinie)* Ciemno! Chłodno! Wiatr pociąga tak ostro i świeżo, jak tam na górach, których już może nigdy nie obaczę. Gdzież one? — Jużem i ślad ich stracił. Nie wiem nawet, jak daleko stąd do Czeremoszu, nad którego brzegiem moja Prakseda siedzi zadumana, slucha, jak woda jego szumi i na mnie czeka. O, nie czekaj, luba dziewko! — Ja wtenczas wrócę, gdy te fale, co mię uniosły, wrócą nazad i pod górę popłyną. *(przechadza się — po chwili)* Tyle dni, tyle miesięcy, ani wieści od nich! — I któż mi ją miał przynieść? Jak słowo pozdrowienia od matki, od kochanki, mogło mię znaleźć? — Ich ziemia taka szeroka! Ich wojska tak wiele! A ja jeden śród tylu tysięcy. — Darmo o tem myśleć. Trzeba służyć do końca i wrócić wtenczas, gdy matka będzie w grobie, a Prakseda żoną — nie moją. *(potrząsa karabinem)* Ciężkiś, przyjacielu! *(po chwili)* Ziemia tu piękna i bogata; tu niwy takie zielone; tu na drzewach wiszą rumiane jabłka, czernieją dorodne śliwki; tu na

szerokich polach stoi pszenica, jak armja, i kołysze się falami wysokie żyto; a przecież mi tu tęskno, ciasno, duszno! — Bywało, gdym stał sam jeden na wierzchołku Czarnej Góry, gdym widział na dziesięć mil wokolo góry mniejsze, jak ogromne styrty zielonego siana, gdy pod nogami mojemi ciągnęły chmury, a nad głową nie było nikogo, prócz orła, który szumiał skrzydłami — o, jak mi było świeżo, jak wesoło, jak swobodnie! — Więc już nigdy nie obaczę moich jodeł, nie orzeźwię swej piersi wodą Czeremoszu, nie odetchnę powietrzem na połoninach? — Nie, to być nie może. — Ja tu nie umrę, ja was ujrzę koniecznie, prędko. — *(miarkuje się)* Tak, odrzucisz broń, uciekniesz ze stanowiska — o dwie mile złapią cię i rozstrzelają — i dusza twoja przeleci nad tą ziemią, gdzieś się urodził, ale oczy twoje nigdy jej nie obaczą. Nie, bracie! Nie tobie pomścić się za krzywdę matki, nie tobie otrzeć łzy z oczu Praksedy; zostaw to Bogu, a sam dźwigaj karabin, chodź wprzód i nazad tam, gdzie cię postawią, i pilnuj pańskiego dobra, póki cię nie zmienią. Cicho! Ktoś się przybliża. *(woła głośno)* Kto idzie?

MAKSYM: *(podchodzi zwolna, zmieniwszy głos)* Swój, panie żołnierzu! Dobry wieczór. Prędkiej zmiany życzymy.

ANTOŚ: Dziękuję. — Za czem tu idziecie po nocy? Tędy żadnej drogi niema.

MAKSYM: Mówili, że koło magazynów droga do Berezówki.

ANTOŚ: Nieprawdę wam powiedzieli. Idźcie sobie z Bogiem nazad. Tu nie wolno chodzić o tej porze.

MAKSYM: Ta, nie tacy, jak my, panie żołnierzu, robią to, czego nie wolno; jedni niechcący, jak ja teraz, a drudzy umyślnie. Wam nie straszno czuwać samemu na takiem pustem miejscu?

ANTOŚ: Cóżbym to ja był za żołnierz, żeby mi było strasznо.

MAKSYM: Zapewne przystaliście sami do żołnierzów, z ochoty. Niemcy umieją jej dodawać. Ja to sam wiem dobrze.

ANTOŚ: Czyś służył?

MAKSYM: Oj, służyłem, i z tym przyjacielem *(pokazuje karabin)* znam się doskonale.

ANTOŚ: Jeśli tak, to wiesz, że na stanowisku gawęda nie pozwala się.

MAKSYM: Na odwachu, prawda; ale na oddalonem stanowisku i nie w czasie wojny, czemuż nie pogadać, jeśli podejdzie dobry człowiek, bywalec, dawny wojak, co widział góry i doliny, pola i lasy, i nad morzem bywał. Trzy godziny przestać samemu, daj go katu! Ja wiem, jak to długo.

ANTOŚ: *(opierając się na karabinie)* Jakieżeś to góry widział?

MAKSYM: Eh, jakich nie widziałem, zapytaj. Kat ich tam spamięta, jak się nazywają. Jedne tylko zostały mi w pamięci.

ANTOŚ: Jakież to?

MAKSYM: Co ci o nich mówić, panie żołnierzu, kiedyś nigdy w górach nie bywał.

ANTOŚ: Jam nie bywał? Ach!

MAKSYM: Co to ci?

ANTOŚ: Nic, bracie! Pokazałeś głodnemu kawałek chleba i nie chcesz się z nim podzielić. Dawnoż byłeś w górach?

MAKSYM: O, już dawno. Pięknież tam i wesoło!

ANTOŚ: Zdrowo i swobodnie.

MAKSYM: Kiedy stoisz w dolinie, gdzie rzeka szumi i skacze po kamieniach, zdaje ci się, że ich tylko tyle, ile lasu, którym obrosły ich boki. Ale wyjdźno cokolwiek

wyżej, aż tu z jednej góry wyrasta druga; wydrapaj się jeszcze dalej, aż tam trzecia i czwarta podnosi, jedna na drugiej, ogromne plecy; a wleź na sam wierzchołek Krętej i popatrz wtenczas przed siebie na Czarną...

ANTOŚ: *(rzuca karabin i chwyta go obiema rękami)* Co? Co? Kto ty jesteś? Twój głos mi znajomy.

MAKSYM: Ja cieśla z Berezówki — oto i mój instrument. *(pokazuje mu topór)*

ANTOŚ: *(chwyta topór i podnosi go wgórę)* O, znam się z nim; zręczny — prawie taki, jak mój był niegdyś. Na, weź go sobie! Idź z Bogiem i nie kuś mię! Gdybym nie wiedział, gdzie jestem, gdyby mnie ten biały mundur nie cisnął i ten karabin koło mnie nie błyskał, zdawałoby mi się, żem niedaleko od rodziny, tak znajomym głosem przemówiłeś do mego serca. *(rzuca mu tupór pod nogi)* Idź sobie, stary, nie rozdrażniaj mię, moje piersi i tak poranione. *(zakrywa sobie oczy, tymczasem* PRAKSEDA *podchodzi i staje przed nim)*

MAKSYM: *(właściwym sobie głosem)* Dlaczegóż myślisz, że sam tylko pamiętasz o rodzinie, a ona o tobie zapomniała? Czyż to w górach niema dobrych ludzi, którzyby ciebie pożałowali? Antosiu!

PRAKSEDA: Antosiu!

(Antoś odkrywa oczy, w zadumaniu patrzy długo na nich i pada przy nogach Praksedy)

PRAKSEDA: Wstań, mój jedyny! Bez ciebie dla mnie nie było dnia i życia. Tylem światu zbiegała, nimem cię znalazła. O, teraz jakże mi lekko i słodko!

MAKSYM: Antosiu, wstań, przyjdą cię zmienić.

ANTOŚ: Nie budźcie mię!

PRAKSEDA: To nie sen, Antosiu! Ja tu, przy tobie. — Matka cię pozdrawia.

ANTOŚ: *(zrywa się)* Matka! — Więc żyje? Pozdrawia mię? *(przypatruje się Praksedzie)* Ach! To ty, ty

moja czarnobrewa, moja Prakseda? Chodź! Połóż tu rękę! — O, co te piersi dla ciebie czują! — Ale i ty mię kochasz, nieprawdaż? — Inaczej przyszłażbyś tu, tak daleko? Bóg ci to zapłaci — jam za ubogi. A ty, stary? *(ciągnie go do siebie)* O, tyś Maksym — teraz już widzę — a wprzódy uszom swoim wierzyć nie chciałem. I wy, Maksymie, w waszych latach na takąście się drogę puścili. — O, ciężki dług na mnie wkładacie.

MAKSYM: Matka na ciebie czeka.

ANTOŚ: I niepróżno. Śmierć tylko mogłaby mię zatrzymać. Ona mię nie minie, ale jeszcze nie dziś i nie tu, dzięki Bogu.

PRAKSEDA: O czem bo ty myślisz, Antosiu?

ANTOŚ: Nie oszukuj się, Praksedo! Ja wiem, co mię czeka. Uciekam z tego miejsca, gdzie mnie postawiła wola cesarska; odrzucam broń, która mi pod przysięgą dana; popełniam zbrodnię, taką zbrodnię, Praksedo, za którą prawo każe mię zabić, i każe sprawiedliwie. Wiem to, a przecież zostać tu nie mogę. Tam mię woła matka, tam woła zemsta, tam szum rodzinnych lasow i świst wiatru, który na wierzchołkach naszych wieje. — Chodźcież!

PRAKSEDA: Ach, cóżem ja uczyniła!

ANTOŚ: Dobrześ, dobrze zrobiła. — Dalej w drogę!

MAKSYM: Ej, Antosiu, a gdzie głowa? W tym mundurze chcesz uciekać? Może jeszcze weźmiesz karabin?

ANTOŚ: Cóż począć?

MAKSYM: Precz z tem. Oto twoja odzież. — *(zdejmuje tłumoczek)*

ANTOŚ: Dziękuję ci — dawaj! *(zrzuca mundur)* Bywaj zdrowa, biała skorupo, coś mię, jak żółwia, trzymała, w swojem więzieniu. Odedrzeć ciebie od ciała nie można bez krwi — niechże płynie, ale przynajmniej tam, gdziem się urodził. *(odrzuca karabin)* Bądź zdrów, przyjacielu!

Za to, że się z tobą rozstaję przed czasem, może mi pluniesz w oczy i łeb roztrzaskasz. Cóż robić? Mnie tam woła inna powinność.

MAKSYM: Masz za zamianę. *(daje mu pistolety)*

ANTOŚ: *(przypatruje się i całuje)* Moje, moje własne! Maksymie, niech ci Bóg płaci! *(kładzie je za pas i odziewa się)*

MAKSYM: *(daje mu topór)* I to jeszcze twój.

ANTOŚ: Mój, mój, Maksymie, — to trzecia ręka górala. Chodźcież teraz, bo nierano.

MAKSYM: Pamiętajże, Antosiu, żeś cieśla.

ANTOŚ: Cieśla, tak — a kto zechce wątpić, potrafię go przekonać! *(potrąca toporem, drugą ręką obejmuje Praksedę i wychodzą)*

SCENA III.

Wieś Żabie.

Otwarte miejsce przy krynicy. ANNA *wchodzi z wiadrami i trzyma za rękę córeczkę.* — MARTA *siedzi na ziemi pod skałą z zakrytą twarzą.*

ANNA: Czegoż chcesz?

DZIECIĘ: Czy ojciec dziś wróci z Kosowa?

ANNA: Dziś.

DZIECIĘ: Czy ojciec nam co przywiezie?

ANNA: Żeby tylko sam wrócił.

MARTA: *(podnosi głowę)* Dobrze mówisz, kobieto! Niezawsze ten wraca do domu, kto z niego zdrowo wyjechał.

ANNA: Marto, czemuż wy mnie straszycie?

MARTA: Tyś żona Prokopa, a to twoja córka?

ANNA: *(stawia wiadra i tuli dziewczynkę)* Moja.

MARTA: Przywiążże jej kamień do szyi i rzuć w rzekę!

DZIECIĘ: Matko, jaka ona straszna!

ANNA: Ach, zła kobieto, cóż ci dziecko winno?

MARTA: Ona mi nic nie winna, to też ja dla jej dobra tak ci radzę.

ANNA: Dla jej dobra chcesz, żebym ją utopiła?

MARTA: A czemuż nie? Patrzaj na mnie, na to wyschłe lice — to od głodu; na te oczy zapadnięte i zapalone — to od ciągłego i gorzkiego płaczu; na to odzienie brudne i podarte — niema komu wyprać go, niema komu naprawić, bom ja stara i bezsilna, a sługi nie mam, dzieci nie mam — samam, sama jedna na świecie. Ja siadam nad drogą, żeby dobry człowiek, przechodząc, dał mi kawałek chleba, bo zarobić nie mogę, a zarobić dla mnie niema komu. I teraz siedzę tu, nad krynicą, żeby mi kto podał kroplę wody, bo wiadra nie udźwignę, a przynieść niema komu, bom sama, sama jedna na ziemi. Nie lepiej-żeby mi było, gdyby mi była matka kamień do szyi uwiązała, niż teraz?

DZIECIĘ: Matko, jaka ona biedna!

ANNA: *(zakrywając oczy)* Cicho, dziecię!

MARTA: Tak i twoja córka. Dziś maleńka, rumiana i szczęśliwa, dziś wyciąga do ciebie rączki, i usta jej śmieją się, a choć niekiedy łzy ma na oku, ale w sercu nie ma bolu, w głowie nie ma gryzącej myśli. — Ale twoja córka wyrośnie i wyciągnie ręce nie ku tobie; zechce przycisnąć do serca śmiałego chłopca, co się jej podoba; ty pozwolisz, zaprosisz na niedzielę księdza i swatów; drużki się zbiorą, posadzą dziewczynę, rozplotą jej kosę i włożą wieniec na głowę — i w tymże czasie przyjdzie taki łotr, jak twój mąż, pochwyci jej narzeczonego i w kajdanach do Kut odeśle. — Cóż myślisz, czy wtenczas ci córka twoja nie powie: „Matko, czemuś mi kamienia do szyi nie uwiązała, gdym była dzieckiem?“

ANNA: Ach, przestań, Marto, przestań!

MARTA: Albo, jeżeli córka twoja zostanie matką, jeżeli jej Bóg da syna jedynaka, a ona go wykarmi swem mlekiem, wykąpie swojemi łzami, wygrzeje swym oddechem, swoją duszą, i syn jej wyrośnie, stanie się ozdobą Karpatów, dumą wsi całej, jedyną pociechą, jedyną podporą starej matki — a wtenczas przyjdzie taki łotr, jak twój mąż, pochwyci go, w jej oczach zwiąże, ją biedną oderwie od jedynego dziecka i rzuci na ziemię, i potem zostawi sierotą bez pomocy, bez chleba, bez kropli wody, samą, samą jedną na świecie — cóż myślisz, nie będzie cię twoja córka przeklinać, żeś jej kamienia do szyi nie uwiązała i nie wrzuciła w rzekę?

DZIECIĘ: Matko, chodźmy stąd!

ANNA: O matko, niech wam Bóg nie pamięta, jak wy mi duszę rozrywacie.

MARTA: *(powstaje)* Ja tobie duszę rozrywam? — A kto mi duszę rozdarł i serce krwią zalał? Czyście wy nie zasłużyli na moje przekleństwo? O, nie pożałuję go wam. Żono zbójcy Prokopa, bądź wdową, a dzieci twoje niech będą sieroty bez koszuli, bez chleba.

ANNA: *(porywa wiadra)* Uciekaj, dziecię! Uciekaj!

MARTA: *(idzie za nią)* Uciekaj, uciekaj! — Wróć do domu i zastań tam pożar, zastań zarazę w swojej oborze i trupa w swojej kołysce!

(wychodzi za nią)

SCENA IV.

Las w górach.

ANTOŚ: *(w góralskiem odzieniu, leży pod drzewem; po chwili podnosi się i patrzy z niecierpliwością).* Jeszcze go niema? Coś stary Maksym zleniwiał. Nic dziwnego:

jemu nie tak pilno, jak mnie. *(po chwili)* Mój Boże! Z taką radością tu biegłem, tak mi serce biło, kiedym Prut przestąpił i zobaczył na dalekiem niebie wierzchołki gór rodzinnych, — a teraz tu przede mną moja wieś, tu ojcowska chata, tu okno, skąd mię wygląda matka, a mnie niewesoło — siedzę i czekam — na kogoż? Na śmiertelnego wroga, aby mu grzech jego kawałkiem ołowiu przypomnieć. — Przeklęty los mój! — Ale cicho —ktoś idzie — to pewnie Maksym. *(Maksym wchodzi; Antoś bieży ku niemu i chwyta go za rękę)* A co? W domu?

MAKSYM: W Kosowie.

ANTOŚ: Prędko wróci?

MAKSYM: Dziś.

ANTOŚ: Dziś — no, dobrze. Zaczekam. *(przechadza się—Maksym spogląda nań z niespokojnością)* Maksymie, Prakseda u matki?

MAKSYM: U matki.

ANTOŚ: Idź i ty tam, dobry Maksymie! Przygotujcie ją. Biedna matka, gdyby mię nagle obaczyła, umarłaby z radości.

MAKSYM: Słuchaj, Antosiu, jabym ci chciał coś powiedzieć.

ANTOŚ: Ani słowa. Czy to ja dziecko i nie wiem, czego mi chcieć i co począć? Przysiągłem sobie w duszy i dotrzymam. Idź, idź, Maksymie, proszę cię! Ja tu zostanę. Stąd widno mi drogę, którą wracać będzie do domu. O, niech się porachuje z sumieniem, bo jutra dla niego niema!

MAKSYM: Jak sobie chcesz, Antosiu! Mnie się jednakowo zdaje, żeby lepiej było dla nas wszystkich, gdybyś mu dał pokój. — On niewart twojej kuli.

ANTOŚ: Gdyby on był z rozkazu starszych, z woli prawa odjął mi swobodę, zabił moje młode lata, ha, znosiłbym swój los cierpliwie i nie śmiałbym go obwiniać.

Ręka powinna słuchać i robić to, co każe głowa. Ale tu Prokop winien. Jego własna złość mię zabiła, jego złość wygnała mię ze wsi, włożyła na mnie kajdany, zrobiła dezerterem, odebrała matkę, Praksedę, i wszystko, wszystko! Prawo cesarskie kazało, aby jeden syn zostawał zawsze w domu i był podporą rodzicom, a oni to prawo wykręcili, zmięli, zniweczyli. Bóg przykazał szanować starych, a on chwycił za siwe włosy zgrzybiałą kobietę i rzucił ją o ziemię! — O, niech się rachuje z sumieniem! Jutra dla niego niema! *(pogląda ku drodze — nagle porywa pistolety i za pas kładzie — chwyta topór i woła)* Aha, patrzaj! Powraca — i wporę. Kłusem jego koń biały niesie go do domu. Śpiesz, śpiesz — pocałuj żonę i dzieci — bo ja tuż za tobą. *(wybiega — Maksym idzie za nim zwolna z nachyloną głową)*

SCENA V.

Chata Prokopa.

PROKOP: *(wchodzi, stawia w kącie karabinek, wiesza pistolety i rzuca płaszcz)* No, chwałaż Bogu, że już człowiek w domu. Wszędzie to dobrze, a w domu najlepiej. Gdzieżto moja kobieta? Hej, dzieci! — Niema nikogo. Pewnie poszła po wodę. Kawał drogi spory, wiadra ciężkie, a ona, biedaczka, jak jaka pani, taka delikatna. *(siada)* A może gdzie i do sąsiadki na gawędę — nu, niewielki grzech, kiedy wszystko zrobiono. To tylko źle, że mi się djabelnie jeść chce, a niema komu przyrządzić. Aha, ale otóż i ona.

ANNA: *(wchodzi blada i pomieszana)* Ach, Prokopie, ty już tu? *(rzuca się na jego szyję i płacze)*

PROKOP: Anno! Bóg z tobą! Co ci to?

ANNA: Nic, nic — teraz już lżej.

PROKOP: Czegożeś się tak przestraszyła?

ANNA: Mężu, mężu, podobnoś się ty czegoś złego dopuścił?

PROKOP: Co to ma znaczyć, Anno?

ANNA: Ach, to ma znaczyć, że nad nami wisi nieszczęście. Tylko co widziałam Martę. Straszno i boleśnie na nią popatrzyć, a jej słowa osiadają na sercu, jak kamień! Pocoś ty się wmieszał do tej sprawy? To dzieło grzeszne, Prokopie! — Ona przeklęła mnie i dzieci twoje!

PROKOP: Czy tylko tyle? *(śmieje się)* Gdzie twoja głowa, moja Anno? Było czego się przestraszyć!

ANNA: Przekleństwo, mój mężu!

PROKOP: Puste słowa, żono! — Gdyby przekleństwo starej baby mogło się zamienić w proch i kule, powiedziałbym: — Źle, strzeż się! A teraz śmiej się z tego, lub jeśli ci jej żal, płacz sobie z nią, a mnie tymczasem daj co jeść, bom głodny i zmęczony.

ANNA: *(nakrywając stół w tym kącie, gdzie stoi broń Prokopa)* Ach, to przekleństwo matki, mój mężu! — Ono straszniejsze, niż proch i kule. I ja matka — i czuję to, żebym póty nie przestała wołać, pókiby Bóg nie ukarał tego, co mię skrzywdził.

PROKOP: *(siada za stołem)* No, dosyć tego — dawaj jeść! — Wszystko mi się udało; sprzedałem wełnę, sprzedałem bryndzę drożej, jak inni. Dla pana mandatarjusza przywiozłem baryłeczkę wina, która mię prawie nic nie kosztuje. Wszystko zapłacili nasi ludzie, a ja oddam od siebie. Toto nazywa się umieć chodzić koło swoich interesów! Pan mandatarjusz jest osieł, choć czasem i po łacinie gada. Gdzie jemu rozplątać moję siatkę? Ja teraz tu rozgospodaruję się, a on w mojem ręku będzie tylko miotłą, którą stad wymiotę każdego, co mi się nie podoba, jak śmiecie z podwórka. Ale czegoś ty tak nos spuściła na kwintę? He?

ANNA: Nic, nic — słucham, co mówisz; a na sercu coś ciężko i oczy chcą płakać.

PROKOP: Mówiłem ci, żeś głupia. — No, chodź, pocałuj mię i przynieś mi śmietany, jeżeli jest, żebym się trochę orzeźwił.

ANNA: Zaraz — mam świeżą *(bierze z półki miskę, łyżkę i wychodzi w boczne drzwi)*

PROKOP: Że też tej baby djabli wziąść nie mogą! Tak mi kobietę przestraszyła! Przeklęta czarownica! Wyforuję ja ją prędko!

(ANTOŚ *wchodzi średniemi drzwiami i staje)*

Któż tam znowu? Cóż? Nie odzywasz się? Kto? *(ogląda się przestraszony)* Ha, to ty!

(zrywa się, chcąc chwycić za pistolet. Antoś strzela i Prokop pada bez życia)

ANNA: *(wbiega przelękniona)* Co się tu stało? Kto ty jesteś? — Ach, to syn Marty! *(bieży do męża i przyklęka przy jego zwłokach)*

ANTOŚ: Ja — syn Marty, a ty — wdowa.

(chce wychodzić i spotyka we drzwiach Maksyma; za nim wchodzą MARTA *i* PRAKSEDA)

MAKSYM: *(patrząc na trupa)* Za późno!

MARTA: Synu! Synu! Tyś wrócił i do mnie nie śpieszysz? Pierwej tu przyszedłeś?

ANTOŚ: Miałem tu pilniejszą robotę — spójrzyj tam, matko!

MARTA: Nie żyje!

ANTOŚ: Ten, co cię rzucił na ziemię, co cię nogą potrącił, nie żyje, i wdowa jego nad nim płacze.

MARTA: Sprawdziło się więc moje przeklęctwo! Bóg wysłuchał próśb matki i wrócił mi syna, który pomścił się za moję krzywdę! — Chodź, uściskaj mię, moje dziecię! Żebyś ty wiedział, jak mię oni męczyli, nim mi powiedzieli, żeś wrócił. Kłamali, żeby serce matki nie pękło

ze zbytniej radości. Ach, ono od smutku zeschło, wywiędniało od płaczu! Ty tylko możesz mi dać radość i życie. Chodź tu, moja pociecho jedyna!

ANTOŚ: Nie, matko, nie na radość, nie na pociechę twoję wróciłem! — Wróciłem tylko pomścić się za twoję krzywdę!

MARTA: Boże mój! Co ty mówisz, synu?

ANTOŚ: Rzeczy proste, moja matko, które i ty sama pojmiesz. Jestem dezerter i zabójca. Dla mnie niema pokoju, niema przytułku między ludźmi, i dla ciebie niema pociechy, niema radości. Wydarto mnie tobie prawnie — i ja sam wrócić się tobie nie mogłem. Nie masz już syna, matko! Wrócił tylko mściciel twej krzywdy. *(bierze za rękę Praksedę)* Oto twoje jedyne dziecię. Ona cię będzie szanować i do ostatniej godziny strzec i służyć.

MARTA: A ty? A ty?

ANTOŚ: Ja, matko, muszę dla siebie szukać schronienia.

MARTA: Tamże dom twój, synu!

ANTOŚ: Dla mnie niema domu. Mój dom — jaskinie i puszcze, a moi krewni — zbójcy!

(wychodzi, MAKSYM *za nim)*

MARTA: *(w osłupieniu)* O, ja nieszczęśliwa!

PRAKSEDA: *(przyklęka i obejmuje jej kolana)* Biada nam!

ANNA: *(podnosi się)* Biada wam!

ZASŁONA SPADA.

AKT TRZECI.

SCENA I.

Przed chatą Antosia.

Noc. PRAKSEDA *siedzi pod drzewem, koło niej stoi* ANTOŚ.

ANTOŚ: Nie płacz, Praksedo!

PRAKSEDA: Jam ciebie zgubiła!

ANTOŚ: Nie ty, biedna dziewczyno! Nie dla ciebiem tu wrócił. Czy matka śpi?

PRAKSEDA: Usnęła. Długo na ciebie czekała. Codzień siedzi w tem oknie, wygląda cię, wygląda, póki jej siły nie opuszczą i sen nie zmorzy.

ANTOŚ: Biedna matka! Wychowała mię, wypieściła, żebym był pociechą, podporą, a jam — rozbójnik!

PRAKSEDA: Serce twoje czyste.

ANTOŚ: Ale ręka moja zakrwawiona cudzem życiem, zawalana cudzem dobrem.

PRAKSEDA: My ciebie tak kochamy, Antosiu!

ANTOŚ: Tem gorzej dla mnie. Wolałbym, żebyście pomarły. W grobie nikt się nie wstydzi za syna, ani za kochanka. Ja wtenczas byłbym swobodnym: z jednej góry szedłbym na drugą, z jednego kraju w drugi; mściłbym się okrutnie waszej krzywdy i mojej na ludziach złych, na nieludzkich bogaczach. Drżeliby przed zbójcą,

którego można powiesić, ci wszyscy zbójcy, dla których prawo nie naznacza szubienicy.

PRAKSEDA: Ty pragniesz naszej śmierci?

ANTOŚ: Ja pragnę waszego pokoju. Ale co już o tem próżno mówić? Muszę pośpieszać. Bądź zdrowa. Praksedo! Teraz na mnie polują, jak na niedźwiedzia. Wczoraj niedaleko ścieżki leżałem za kłodą, kiedy przejeżdżał komisarz z Kut, a za nim strażnik. Słyszałem ich rozmowę. Znaczny oddział wojska nas ściga. Już znają naszą kryjówkę; trzeba nam poszukać innej.

PRAKSEDA: Gdyby nie matka, poszłabym z tobą.

ANTOŚ: Nie, Praksedo! Tyś nie na żonę opryszka. O, wiele razy patrzę na tę chatę, gdziem się urodził i wychował, zawsze ciśnie się do mojej głowy to, com sobie wtenczas myślał, gdym ciebie pokochał. Ty miałaś tu być gospodynią, na tym progu miałaś mię czekać, wracającego z każdej drogi, z każdej roboty; tu ja miałem uczyć twojego syna biegać po górach, ścigać sarny, ścinać toporem najwyższe gałęzie, być uczciwym i śmiałym, bać się tylko Boga i prawa — o Praksedo, i to wszystko przepadło!

PRAKSEDA: Antosiu, przestań! Mnie się w głowie miesza. O, biada mi!

ANTOŚ: Biada ci, biedna dziewczyno! — Tobie już nie iść zamąż; tyś była narzeczoną rozbójnika!

PRAKSEDA: Weź mię: ja będę twoją żoną i z tobą razem zginę.

ANTOŚ: Nie, Praksedo! Zdejm z palca tę obrączkę, która cię ze mną wiąże. *(zdejmuje ją)* Na znak rozwodu i wiecznego rozstania rzucę ją w najgłębsze miejsce Czeremoszu. Ja teraz mam inną żonę. Ona wkrótce obejmie moję szyję cienką i giętką ręką i trzymać będzie w swojem objęciu póty, póki mi kruki oczu nie wykolą. Moja żona — szubienica.

MARTA: *(z chaty)* Praksedo?

ANTOŚ: Słyszysz? *(ściska ją gwałtownie)* Póki ten głos nie umilknie na wieki, żyj, o, żyj, moja Praksedo!

(szybko wychodzi)

PRAKSEDA: Ja zwarjuję! Sama nie wiem, co się ze mną robi. Gdzie jestem? Ktoś mię wołał. — Kto?

(ogląda się dziko)

MARTA: *(z chaty)* Praksedo!

PRAKSEDA: Aha, to ty! Idę, idę. *(wychodzi)*

SCENA II.

Miejsce dzikie wśród skał i lasów.

Na ściętym pniu pali się ogień — OPRYSZKI *w różnych grupach. Noc.*

JEDEN Z OPRYSZKÓW: *(stoi na przodzie z czarką w ręku i śpiewa)*

Hej, bracia opryszki, dolejcie do czarki,
Do ognia przyrzućcie tu drew,
Nastrojcie mi gardło odgłosem fujarki —
Wesoły zaśpiewam wam śpiew.

Bezpieczniśmy, póki na ziemi zielono
I liściem okrywa się las;
W gęstwinach i krzakach, za kłodą zwaloną,
W gałęziach nie znajdzie nikt nas.

Jak ptakom drapieżnym, nam skały gospody;
Tam śpijmy spokojnie do gwiazd;
Gdy noc się nasunie na ludzi, na trzody,
My z naszych spuszczamy się gniazd.

Barany z połonin nam dają pieczenie,
Jest wódka, gdy przyjdzie myśl zła,
Pieniędzy dostarczą podróżnych kieszenie,
Buziaka Hucułka nam da.

Tytoniu przyniesiem z węgierskiej granicy,
Tam zwiążem strażników za łby,
Odzieży dostaniem z żydowskiej kramnicy
I żyda przykujem do drzwi.

Gdzie góry i bory, gdzie jary i jamy,
Tam dla nas forteca i dom!
Nie straszny nam Niemiec, gdy głodu nie znamy,
Nie straszna nam słota i grom.

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy!
Niedługo pozwolą nam żyć:
Gdy śniegi nas zdradzą, na sznurku zaśniemy,
Ni śpiewać nie będziem, ni pić.

WSZYSCY: Weselmyż się, bracia, dopóki możemy i t. d.;

PIERWSZY OPRYSZEK: Do wszystkich tysięcy djabłów! Przestańcie o tym przeklętym śniegu! Śnieg biały i Niemiec biały; ja ich równie nienawidzę. Po śniegu białym Niemiec biały śladem pójdzie za nami i, jak niedźwiedzi, nas wytropi.

DRUGI OPRYSZEK: Porzuć! — Jeszcze do tego daleko. Dziś z czarką w ręku, jutro obejmiesz ładną Hucułkę, a pojutrze sznurek ciebie obejmie.

TRZECI OPRYSZEK: A cóż? To wesoło!

CZWARTY OPRYSZEK: Nie żyć-że człowiekowi do stu lat?

PIĄTY OPRYSZEK: Lepiej jedno lato, jak orzeł, niż sześć, jak baran. Tu cię kula dogoni — upadniesz między skały i basta — przynajmniej nie wiążą cię i co roku nie strzygą.

SZÓSTY OPRYSZEK: Tu możesz pozwolić duszy pohulać. Nikt ci tu nie powie: „To rób, a tego nie rób; to można, a tego nie można; to sąsiedzkie, a to pańskie." — Miljon set djabłów! A cóż moje?

CZWARTY OPRYSZEK: Tu wszystko moje, co mogę wydrzeć. Mam pełne kieszenie — biorę mało; mam puste — biorę wszystko i basta.

TRZECI OPRYSZEK: A czasem się i ucieszysz porządnie. Trzy dni temu, ot z nim, leżeliśmy w trawie na samej węgierskiej granicy. Aż patrzymy — jedzie żyd. Jedzie, i pomrukuje, i ogląda się. A nas z trawy niewidno. Aż on krzyknął raptem: „Stój!" — a bestja żyd, jak worek plewy, buch na ziemię! On konia za cugle, a ja żyda za pejsy. — „A co ty, bratku, wieziesz? Dawaj cwancygiery!" — Żyd zębami dzwoni, a ja mu toporek do szyi.

PIĄTY OPRYSZEK: I zarznąłeś?

TRZECI OPRYSZEK: Fe! Naco rznąć tchórza? Jego własny strach gorzej kole, jak nóż opryszka. Jemu pluń w oczy, to on myśli, że kula, i djabli go biorą.

DRUGI OPRYSZEK: I cóżeś zrobił?

TRZECI OPRYSZEK: Ot, naśmiałem się dowoli. Żyd siadł na ziemi, zaczął mię ze strachu łajać, a potem krzyczeć: — „Aj waj! Ty gałganie opryszku! Naco to mnie zarzynać? Co to za głupstwo! Ja tego nie wytrzymam!"

(śmieją się)

PIERWSZY OPRYSZEK: I puściłeś go tak?

TRZECI OPRYSZEK: Ej, nie. — On wziął co lepsze towary, ja wziąłem pieniądze, oberznąłem mu pejsy i dopiero puściłem.

PIERWSZY OPRYSZEK: A wiele wziąłeś?

TRZECI OPRYSZEK: A tobie co do tego?

PIERWSZY OPRYSZEK: Co do tego? Miljon djabłów! To właśnie i źle, że u nas każdy na swoją rękę rabuje.

TRZECI OPRYSZEK: Trzeba ci pieniędzy, to ci dam, ale tyle, ile mnie się podoba.

PIERWSZY OPRYSZEK: Żebym ja był waszym naczelnikiem, tobym cię za to kazał powiesić.

TRZECI OPRYSZEK: *(podnosząc toporek)* Nim ty mię każesz powiesić, ja ci mogę uszy obciąć.

MAKSYM: *(który dotąd siedział w myślach, podnosi się)* Milczeć! Bo was każę związać obudwóch. — Hej! Czy wszyscy są?

TRZECI OPRYSZEK: Kuźmy niema i Michajła.

MAKSYM: A Cygan gdzie?

PIĄTY OPRYSZEK: Ten złodziej śpi ze wstydu.

DRUGI OPRYSZEK: Cóż mu się zrobiło?

PIĄTY OPRYSZEK: Na drodze do Burkutu spotkał Huculkę z Krzyworówni, która panom nosiła masło. Żwawa dziewka, mojego wzrostu, rumiana i czarnobrewa. My tam obaj leżeliśmy w wierzchowinie i czekali, czy się co nie trafi. Dziewka idzie i śpiewa. Mój Cygan do niej i nuż prosić, żeby go pocałowała.

KILKU: Paskudnik!

PIĄTY OPRYSZEK: Dziewka to i zmiarkowała, że Cygan paskudny i tchórz; — nibyto pozwala, — on się tam do niej przysunął, a ona mu tymczasem toporek z ręki i pistolet z za pasa, i dawaj kurek odwodzić i mierzyć Cyganowi prosto w łeb! A mój Cygan w nogi, a ja w śmiech.

(wszyscy śmieją się)

SZÓSTY OPRYSZEK: A dziewka?

PIĄTY OPRYSZEK: Plunęła za nim, wzięła pistolet i topór, i poszła spokojnie.

CZWARTY OPRYSZEK: Tęga! Czemużeś jej do nas nie zawerbował? *(słychać wystrzał)*

MAKSYM: Co to jest?

PIERWSZY OPRYSZEK: Może Niemcy.

DRUGI OPRYSZEK: Tobie tylko Niemcy śnią się. Poczekaj do zimy, to ci siądą na karku; a teraz co nam zrobią? To pistolet Antosia.

ZA SCENĄ: Hop! Hop, hop!

TRZECI OPRYSZEK: To nasi. *(wchodzi* KUŹMA *i* MICHAJŁO *i prowadzą* MANDATARJUSZA *z zawiązanemi oczyma)* A to co za ptaszek?

MAKSYM: Odwiążcie mu oczy. — Eh, pan mandatarjusz! — To ty!

MANDATARJUSZ: *(drżąc)* Al... al... bowiem ja — *Magnanimi Opriscones, misereamini! (śmieją się)*

PIERWSZY OPRYSZEK: Co on bełkocze?

MANDATARJUSZ: *(składając ręce)* Piąte: Nie zabijaj. — Szóste: Nie cudzołóż. — Siódme: Nie kradnij! — Jeszcze siódme i szóste... można i tak i siak — ależ piąte, — piąte... strzeżcie się... albowiem...

MAKSYM: Czemu ty, bratku, nie powtarzałeś sobie tych przykazań tam w twojej kancelarji?

MANDATARJUSZ: Albowiem zawsze powtarzałem, to jest, codzień.

MAKSYM: *(groźnie)* Kłamiesz.

MANDATARJUSZ: *(przypada na kolana) Mea culpa!*

MAKSYM: Jakżeś się tu popadł? He!

MANDATARJUSZ: Albowiem śród białego dnia, to jest, najniesprawiedliwiej. Spoczywałem na Krętej i czterech Huculów ze mną.

TRZECI OPRYSZEK: A dwóch ciebie wzięło.

MANDATARJUSZ: Zdrada — piekielna zdrada! Dwaj z moich poszli do rzeki, a dwaj położyli się spać. Albowiem wtenczas ci hultaje...

KUŹMA: Ach, ty złodzieju!

MANDATARJUSZ: Albowiem pozwólcie mówić. Ja

krzyczałem, a moi spali; ci mnie wiązali, a moi spali; ci mnie poprowadzili, a moi spali — albowiem wszyscy szelmy są.

MAKSYM: Zasłużyłeś na to, bratku!

MANDATARJUSZ: Albowiem pamiętajcie, co to jest rząd — że to nie są żarty. Rozbijać, to wy wiecie — a mandata, to ja wiem. — A *standrecht*...

(wszyscy śmieją się)

MAKSYM: Pokażcie mu *standrecht*.

KILKU: Sznurka! Sznurka!

MANDATARJUSZ: Zmiłujcie się! — Sznurek dla mandatarjusza? *(śmieje się)* Nie żartujcie, albowiem to nieładnie.

TRZECI OPRYSZEK: Może wolisz topór.

MANDATARJUSZ: *(płacze)* Dobrzy ludzie, albowiem ja was zawsze tak serdecznie kochałem.

CZWARTY OPRYSZEK: *(przykłada mu pistolet do piersi)* Toż ci i podziękujemy.

MANDATARJUSZ: Zginąłem! *(szepce)* — *Pater noster, qui es in caelis*...

ANTOŚ: *(wchodzi szybko)* Co to jest?

MAKSYM: Kuźma i Michajło złapali na drodze do Burkutu ot tego tu panicza. Przypatrz mu się — to twój znajomy.

ANTOŚ: Podnieś głowę, tchórzu!

MANDATARJUSZ: *(pogląda ze strachem)* Aktualnie zginąłem... *Dominus* Antonius Rewizorczuk.

ANTOŚ: Któregoś osądził burzycielem spokojności, kontrabandzistą, buntującym Huculów, i za to mnie, jedynaka, przeciwko prawu, oddałeś w rekruty, zrobiłeś dezerterem, a potem rozbójnikiem! — Coś posiał — zbieraj! Jakieś piwo nawarzył, takie pij teraz! — Na gałąź!

MANDATARJUSZ: Pozwól mi się pomodlić.

ANTOŚ: O, i ja modliłem się niegdyś! Choć prosty chłop, alem umiał się modlić, bom się urodził i wychował tu, gdzie wszystko wielkie mię otaczało; gdzie każde drzewo, każda skała, każdy wierzchołek, w chmury schowany, uczyły mię wielkości i miłosierdzia Tego, co to wszystko potworzył. — A wyście mi i to dobro odjęli; ja teraz nie mogę się modlić, ja nie śmiem podnieść do nieba ręki, bo na niej krew! — Precz z nim na gałąź!

(Mandatarjusz chyli się i pada zemdlony)

MAKSYM: Antosiu, podobno obejdzie się bez sznurka. Zadławiłeś go słowami.

ANTOŚ: *(przypatruje się)* Omdlał ze strachu, podły tchórz. Podnieście go! Jak się trzęsie nikczemnik! Precz z nim! Zawiązać mu oczy i wyprowadzić gdzie na błędną ścieżkę, niech tam przepada. Nie wart sznurka, na którym ginie śmiały opryszek. *(dwaj odprowadzają go)* Hola, chłopcy! Do mnie! Naostrzyć topory! Kule i proch niech każdy ma pod ręką! Tę naszą kryjówkę już znają.

PIERWSZY OPRYSZEK: Miljon set djabłów! Nie mówiłem?

DRUGI OPRYSZEK: Cicho! — Skąd wiesz, Antosiu?

ANTOŚ: Wiem — sam słyszałem. Trzystu ludzi posłali w różne strony. Wszyscy strzelcy, jak psy gończe, nas tropią. Komisarz z Kut jest z tym oddziałem, który tu na nas idzie. Ma moc w ręku i groźny papier za pazuchą. Kogo złapią — na szubienicę.

TRZECI OPRYSZEK: *(śpiewa)*

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy,
 Niedługo pozwolą nam żyć;
Dawajcie tu wódki, nim w taniec pójdziemy,
 Już jutro nie dadzą nam pić.

KILKU: Wódki! Wódki tu!

ANTOŚ: Wara! Ani kropli! Łeb rozpłatam temu, kto sięgnie do flaszki! Milczenie! — Z tej kryjówki dziś

precz! Rozbierzcie obóz, każdy na siebie po równej części: chleb, proch i kule — resztą w ogień, w wodę. Od Czepczyna na prawo i na lewo, niedalej jak na milę od granicy, skryć się na węgierskiej ziemi. Po dwóch, po trzech, nie więcej, siedzieć w niedostępnych miejscach. — Co to mamy dzisiaj?

MAKSYM: Piątek.

ANTOŚ: Sobota, niedziala, poniedziałek, żeby żaden nie śmiał nosa pokazać ze swej kryjówki! Słyszycie?

WSZYSCY: Mów! Mów!

ANTOŚ: We wtorek o północy, kogo nie złapią i nie powieszą, niech będzie na Czarnej Górze. Z głębi jeziora, niedaleko brzegu, sterczą dwie jodły.

KILKU: Wiemy, wiemy.

ANTOŚ: Naprzeciwko nich, od węgierskiej granicy pod górę idzie ścieżka między skałami. Ujdziecie nią dwieście kroków. Na prawo będzie kamień, na którym znajdziecie starą płachtę. Kamień ten odwalić, tam będzie pieczara, i w niej ja was czekać będę. — A teraz co żywo zbierać się! — *(Opryszki zbierają się; zostają na przodzie sceny Maksym i Antoś)* O, doprowadzili mnie do ostateczności! Ha, cóż robić! Bronić się trzeba! Maksymie, jeśli nam się uda we wtorek zebrać w pełnej liczbie...

MAKSYM: Cóż zrobisz?

ANTOŚ: Gdy nas Niemcy będą szukać tu, my im tam — za plecami.. *(słychać wystrzał)* Co to jest?

MAKSYM: Pewnie który mandatarjusza poczęstował.

(wystrzał drugi, dalej trzeci)

ANTOŚ: Och, to karabin! — Do broni, chłopcy!

TRZECI OPRYSZEK: *(wraca raniony)* Niemcy! Niemcy naokoło! — Uciekajcie! *(pada i kona. Nowy wystrzał ubija przy Antosiu stojącego opryszka)*

ANTOŚ: Rzućcie wszystko i dalej w różne strony! *(wystrzał rani Antosia)* Oho, znalazłaś mię, przyjaciółko!

Maksymie! Dalej do matki, do Prakdsedy! — Biegnij, bo ja nie mogę. *(przypada na kolana. — opryszki rozbiegają się — wystrzały z różnych stron — dwóch jeszcze pada na scenie, którą napełniają żołnierze i okrążają Antosia — po chwili wchodzi* KOMISARZ, OFICER, *i za nim* MANDATARJUSZ — *żołnierze przyprowadzają kilku schwytanych opryszków)*

KOMISARZ: Panie poruczniku, każ jeszcze raz obejrzeć wszystkie kryjówki dokoła. Znam ja ich dobrze. Niejeden pewnie tuż przyczepił się do drzewa, lub przylgnął do skały.

OFICER: *(do feldfebla)* Weź dwudziestu ludzi i przetrząść naokoło wszystkie miejsca podejrzane! Trupów precz! *(zwlekają ich na stronę)*

KOMISARZ: Wielu złapano?

OFICER: Raz, dwa, trzy... pięciu — wszystkich.

KOMISARZ: *(do więźniów)* Kto wasz naczelnik?

(wszyscy milczą)

MANDATARJUSZ: *(występuje i ukazuje na Antosia) Hic est* — albowiem znam go dobrze.

KOMISARZ: Opatrzyć jego ranę. *(podnoszą go i obwiązują)*

MANDATARJUSZ: *(podchodzi zuchwale)* Zbójca, to jest, rozbójnik! Łotr, to jest, hultaj! — Na gałąź, to jest na szubienicę! Albowiem Boga w sercu nie ma. Poburzał przeciwko starszym młodszych, przekradał kontrabandę, bił strażników, dezerterował z regimentu, zebrał szajkę rabusiów. Albowiem na wołowej skórze nie spisałby jego przestępstw. *(podsuwa się bliżej)* Łotr! Rozbójnik! Opryszek!

ANTOŚ: *(z uśmiechem)* Żabo, skaczesz teraz na pochyłe drzewo. Tak to mi dziękujesz, żem cię nie kazał powiesić! — Panie komisarzu, gdybyś był widział przed godzinką tego tchórza, jak walał się u nóg moich, jak wy-

tarty krejcar, wstydziłbyś się z nim razem znajdować i pozwalać, aby on przy tobie śmiał gębę otworzyć.

MANDATARJUSZ: Albowiem nowy dowód zuchwalstwa.

KOMISARZ: *(groźnie)* Milcz waćpan! *(Mandatarjusz skonfundowany odchodzi na bok)* Ty byłeś ich naczelnikiem?

ANTOŚ: Ja.

KOMISARZ: Wielu miałeś w swojej szajce?

ANTOŚ: Odpowiadać będę tylko na to, co się mnie tyczy.

KOMISARZ: Jak się nazywasz?

ANTOŚ: Antoni Rewizorczuk.

KOMISARZ: Więc to ty zabiłeś strzelca Prokopa w jego własnym domu?

ANTOŚ: Ja.

KOMISARZ: Jaki miałeś powód?

ANTOŚ: Szarpnął za włosy moję starą matkę, rzucił ją na ziemię i potrącił nogą.

KOMISARZ: Dlaczegożeś dezerterował?

ANTOŚ: Żeby go zabić.

KOMISARZ: Dlaczegoś potem został rozbójnikiem?

ANTOŚ: Dziwne pytanie! Cóż miałem robić?

KOMISARZ: Czyś się spodziewał, że tym sposobem twoja zbrodnia zostanie bez kary?

ANTOŚ: Bynajmniej — chciałem ją tylko przewlec, aby nie dobić starej matki. Po jej śmierci chciałem sie oddać w wasze ręce sam.

KOMISARZ: Czyś jeszcze kogo zamordował, oprócz Prokopa?

ANTOŚ: Wczoraj, przed samem południem, koń twój,

panie komisarzu, wychodząc z Czeremoszu, potknął się tak, żeś mało nie upadł przez głowę.

KOMISARZ: *(zdziwiony)* No i cóż dalej?

ANTOŚ: Wjechawszy na ścieżkę, zlazłeś na ziemię, usiadłeś na kłodzie i kazałeś strażnikowi poprawić siodło.

KOMISARZ: Jakto? Tyś mię wówczas widział?

ANTOŚ: Byłem od ciebie, panie komisarzu, o kroków dziesięć i słyszałem, coś mówił. Czy chcesz, żebym ci powtórzył?

KOMISARZ: Dosyć — wierzę ci.

ANTOŚ: Jeżelim więc wówczas nie zabił ciebie, któryś miał przy sobie rozkaz mię powiesić, dlaczegoż pytasz, czym jeszcze kogo nie zamordował, oprócz Prokopa?

KOMISARZ: *(do siebie)* Dziwny człowiek! *(głośno)* Czy masz co na swoją obronę?

ANTOŚ: Nic nie mam — jestem zbieg, morderca i rozbójnik.

KOMISARZ: Czy wiesz, co cię czeka?

ANTOŚ: *(z pokorą)* Wiem — szubienica.

KOMISARZ: Za dwadzieścia cztery godziny, nieboże! *(po chwili)* Tymczasem nie maszże o co prosić?

ANTOŚ: Panie komisarzu, droga do Kut prowadzi koło mojej chaty. Pozwól mi tam odpocząć kwadrans, popatrzyć jeszcze na ten dach, pod którym się urodziłem, posłuchać szumu tego dębu, pod którym skakałem codzień, gdym był chłopcem niewinnym i szczęśliwym.

KOMISARZ: *(wzruszony)* Chodź, chodź! — *(do oficera)* O, cobym dał za to, żeby go można ocalić! — Idźmy!

OFICER: *(do żołnierzy)* Otoczyć ich — wy po pięciu w równych dystancjach — ostrożnie — broń na ramię — marsz! *(wychodzą)*

SCENA III.

Miejsce nad samym Czeremoszem.

Zdaleka widać wieś. — MAKSYM *wchodzi i siada na kamieniu; z przeciwnej strony jeden z opryszków skrada się ku niemu i bierze go za rękę.*

OPRYSZEK: Maksymie, was nie złapali?

MAKSYM: I źle zrobili.

OPRYSZEK: Ja uciekam na Wołoszczyznę.

MAKSYM: Idź z Bogiem, a ja zostanę tu.

OPRYSZEK: Już przyprowadzili ich do wsi. Tam żołnierzy, jak śniegu! Uchodźcie, bo was schwytają.

MAKSYM: I powieszą — ot, wielkie nieszczęście! Jest przed czem uciekać? Nasze życie, bracie, nie takie, aby je warto było ochraniać.

OPRYSZEK: Oj, bieda, bieda! — Ale cóż to za dziewka z rozpuszczonemi włosami do nas idzie? — Boże mój, jaka straszna!

MAKSYM: Nieszczęśliwa! Pokochała go, jak swoję duszę; biegała za nim mil sześćdziesiąt; przyprowadziła nazad starej matce, była jej córką, jej sługą. Przyszedłem, powiedziałem jej: „Praksedo, Antosia złapali Niemcy i jutro powieszą." Krzyknęła, objęła głowę rękami, jak obręczą, żeby nie pękła, bladość śmiertelna zsunęła się na jej twarz, jak para na szkło, kiedy chuchniesz — i odtąd spokojna. Nie śmieje się i nie płacze. Życie jeszcze w niej zostało i oczy otwarte — ale duszy już niema w tem ciele. — O, żal mi, żem jej nie ubił tem słowem tak, jak tam starą Martę.

OPRYSZEK: Ach, biedna! — Patrz, dokąd ona idzie? (PRAKSEDA *wchodzi zwolna — patrzy na nich — potem odwraca się i idzie dalej)*

MAKSYM: Praksedo!

PRAKSEDA: *(zatrzymuje się)* Skąd wam to przyszlo do głowy? — To już bardzo dawno, kiedy orzeł schwyci na cmentarzu kość i zaniesie na Czarną Górę, a ona tam pobieleje od wiatru i śniegu — wy przyjdziecie, popatrzycie i powiecie, że to Prakseda. Jakże to można poznać? — Lepiej idźcie tam, gdzie was prosili. Tam już gości poszło dużo, a wszyscy czysto i biało ubrani. I Marta ich czeka i was czeka. Ona tam leży na tapczanie na środku izby, zimna i twarda. W głowach jej palą się dwie świece, a w nogach siedzi stara kuma i płacze. I tak potrzeba. Kiedy w cerkwi dzwonią i grabarz stoi z łopatą, to ludzie śmieją się, a kiedy dziewczynę ubierają do ślubu, to ona płacze, i matka płacze, i drużki płaczą, — a przecięż to wesoło. Idźcież i wy, — i wam tam będzie wesoło. I ja zaraz przyjdę. Kwiatków już tam nazbierałam dużo; mam koszulkę białą, jak śnieg, i spodniczkę czerwoną, jak krew, — tylko jeszcze piołunu narwę i wianuszek sobie zrobię — śliczny wianuszek!

OPRYSZEK: Biedna!

MAKSYM: Nieszczęsna Praksedo!

PRAKSEDA: Co-bo wy gadacie o Praksedzie? Praksedy już niema. Ona kochała Antosia — jego złapali i powiesili, a ona, biedna, umarła. To już dawno.

MAKSYM: *(pasując się z sobą)* Ha, zostawić ją w takim stanie na pośmiewisko ludzkie? — Nie. — Praksedo!

PRAKSEDA: Prakseda była bardzo biedna. Ona go tak kochała! I lepiej zrobiła, że umarła. Pocóż jej było żyć na ziemi? — Jej nie to, co mnie. Mnie tu dobrze, mnie tu tak wesoło! Bo, kiedy człowiek nie głodny, to czegoż więcej potrzeba? — Jakem była na tamtym świecie, to mi mówili, że tu źle, że tu płacz i zgrzytanie zębów. Jaka nieprawda! Cóż stąd, że Antosia powiesili? No, to dawniej tak było, a teraz już tego niema; teraz na fujarce grają tak ślicznie, że aż wszystkie rybki

w Czeremoszu skaczą i weselą się. A jezeli Pan Bóg komu da rozum, to jeszcze lepiej — on sobie prosto pójdzie do rzeki i utopi się, i potem tańcuje z rybkami. I ja tam pójdę. — Wy nie wiecie, co się stało? On, jak się z nią żegnał, zdjął jej z palca obrączkę i mówił, że rzuci w wodę. Ja tę obrączkę znajdę, ona mi się przyda na moje wesele, *(smutno)* bo ja nie mam obrączki — patrzcie — a ta obrączka była śliczna; drugiej takiej, póki żyć będę, nie znajdę.

MAKSYM: Boże, odpuść mi ten grzech, może ostatni! *(bierze ją za rękę)* Dziewczyno, chodź tu, tu ze mną!

(prowadzi do brzegu)

PRAKSEDA: Tam? Czy tam obrączka? — Otóż to, kiedy człowiek dobry się znajdzie! — Niema, jak górale. Tam daleko ludzie nie tacy. Oni go złapali i zaraz powiesili. Czyż oni nie wiedzieli o tem, że nim wiatr kołysać będzie i wydzierać jego piękne kędziory, że deszcz bić będzie w jego twarz, jak w zimną szybę, a potem kruk przyleci, siądzie na głowie, wplącze swe szpony w jego włosy, nachyli się i dzióbem oczy jego wykalać zacznie?

MAKSYM: Chodź! Chodź, nieszczęśliwa!

OPRYSZEK: Co ty chcesz robić? — Szalony!

MAKSYM: *(dziko)* Idź precz! — Chodź! *(postępuje)*

PRAKSEDA: Chodź prędzej! — I mnie trzeba śpieszyć — mnie tam czekają wszyscy, wszyscy czekają. *(nachyla się nad brzegiem)* Jak tam głęboko! Czy tam?

MAKSYM: *(strąca ją w wodę)* Tam, moja dziewko! Uciekaj przed ludźmi — dla ciebie niema życia na ziemi.

OPRYSZEK: Maksymie! Maksymie! Coś ty zrobił?

MAKSYM: *(chwyta go za gardło)* Idź precz! Bo cię zadławię. *(odtrąca go)* Ruszaj sobie w świat, gdzie cię oczy poniosą, a ja idę do Niemców. *(wychodzi)*

(OPRYSZEK *zagląda do rzeki, okazuje gestem, że już po niej, i odchodzi)*

SCENA OSTATNIA.

Izba w domu Antosia.

Na środku w głębi sceny leży MARTA *na tapczanie; w nogach siedzi stara kuma, w głowach palą się dwie świece. Bliżej, na lewo, stoi* ANTOŚ, *oparty o ścianę, i patrzy spokojnie na trupa matki. Przy nim dwóch żołnierzy. Na prawo stoi* KOMISARZ *i* OFICER.

KOMISARZ: *(do oficera)* My, ludzie oświeceńsi, tylko sobie przyznajemy głębokie uczucia i mocno się mylimy. Jak słoje drzewa zacierają się i nikną pod błyszczącym lakierem, tak i nasze namiętności. Nasza radość, nasz smutek, mięszają się z soba i zlewają, równie jak cienie ze światłem na dobrem malowidle. Czemże one są w porównianiu z wybuchami radości i rozpaczy tej natury prostej i nieokrzesanej?

OFICER: Bolesny widok!

KOMISARZ: Ta nieszczęsna dziewczyna, z obłąkanym wzrokiem, to jego kochanka. Tu jego matka. Jedną wieścią, jednem słowem o jego wzięciu, tamtej odebrali rozum, tej życie. O, nie musiał być złym człowiekiem ten, którego tak kochano.

OFICER: Żal.

KOMISARZ: Patrz, panie poruczniku, co to za postawa, jaki szlachetny smutek w jego oku, jaka rezygnacja i miłość w jego licu! O, jakbym rad go uratować! Ale niepodobna. Prawo nie zna litości i znać jej nie może.

OFICER: Więc to ów mandatarjusz go zgubił?

KOMISARZ: Postaram się, że pójdzie do kryminału. On kłamliwem przedstawieniem zwiódł cyrkuł i przyprowadził go do popełnienia niesprawiedliwości. Zbójcą jest taki urzędnik. (ŻOŁNIERZ *wchodzi i mówi z oficerem)*

OFICER: Stary jakiś opryszek sam się oddał w ręce nasze i prosi, żeby go wpuścić.

KOMISARZ: Niech wnijdzie! *(żołnierz wpuszcza* MAKSYMA, *który z obłąkanym wzrokiem idzie prosto do Antosia)*

MAKSYM: Antosiu!

ANTOŚ: Ha, to ty! — Gdzie Prakseda? — Nie poznała mię.

MAKSYM: Wiem.

ANTOŚ: Gdzież ona?

MAKSYM: Prakseda na dnie Czeremoszu.

ANTOŚ: Sama się rzuciła?

MAKSYM: Nie.

ANTOŚ: Któż ją tam strącił? — Ty?

MAKSYM: Ja.

ANTOŚ: Dziękuje ci, bracie! *(postępuje spokojnie naprzód z pokorą)* Panie komisarzu, wszyscy moi są już w miejscu bezpiecznem. Czas i mnie — w drogę.

ZASŁONA SPADA.

OBJAŚNIENIA AUTORA.

Str. 7, w. 11: *Połoniny*. — Obszerne i bogate pastwiska n: wierzchołkach gór, nie dochodzących do takiej wysokości, jal Kręta i Czarna, nazywają się w tamtejszym języku połoniny

Str. 12, w. 3: *Burkut*. — Woda mineralna, podobna do kau kaskiego Narzanu, mająca tylko cokolwiek więcej siarki, nazyw: się Burkut. Miejsce to leży o dwie lub trzy godziny drogi oc węgierskiej granicy, przechodzącej tam przez górę Czepczyn

Str. 12, w. 3: *Służyłem im*. — Ostatnie miasteczko pod góram jest Kosów. Stamtąd dwa dni drogi, konno, do Burkutu. Między Kosowem a Burkutem leżą trzy wioski góralskie po Czeremoszu: Jaworów, Krzyworownia i ostatnia wieś Żabie, gdzie pomieściłem scenę mego dramatu. Wielkie to i malownicze osady. Huculi ze wszystkich trzech wiosek zbierają się zwykle w Jaworowie i tam oczekują przejeżdżających. Najmują się oni z końmi do przewozu i zostają potem na usługach panów, za trzy lub cztery cwancygiery.

Str. 12, w. 17: *Mandatarjusz*. — Rodzaj stanowego prystawa, którego opłaca obywatel.

Str. 16, w. 31: *Daśby*. — Daśby znaczy: niema, to jest teraz niema, ale później *dast Bih*. — Wyrazu tego niema w Galicji, niema na Wołyniu; zjawia się on znowu w połtawskiej i charkowskiej gubernji.

»WIELKA BIBLJOTEKA«

ARCYDZIEŁA LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ.

Nr. 1. Z. Krasiński: „IRYDJON"
„ 2. A. Mickiewicz: „KONRAD WALLENROD"
„ 3. St. Wyspiański: „WESELE"
„ 4. A. Dante: „BOSKA KOMEDJA" I. Piekło
„ 5. „ „ „ „ II. Czyściec
„ 6. „ „ „ „ III. Raj
Przekład E. Porębowicza.
„ 7. J. Słowacki: „ANHELLI"
„ 8. J. Kochanowski: „TRENY"
„ 9. J. Kasprowicz: „HYMNY"
„ 10. I. Krasicki: „SATYRY"
„ 11. K. Brodziński: „WIESŁAW"
„ 12. W. Shakespeare: „KRÓL LIR"
Przekład J. Kasprowicza.
„ 13. H. Rzewuski: „PAMIĄTKI SOPLICY"
„ 14. J. Gordon Lord Byron: „DON JUAN" T. I.
„ 15. „ „ „ „ „ „ T. II.
Przekład E. Porębowicza.
„ 16. J. Słowacki: „W SZWAJCARJI"
„ 17. A. Mickiewicz: „PAN TADEUSZ"
„ 18. C. K. Norwid: „PROMETHIDION"
„ 19. A. Mickiewicz: „GRAŻYNA"
„ 20. A. Fredro: „ZEMSTA"
„ 21. W. Syrokomla: „URODZONY JAN DĘBORÓG"
„ 22. H. Ibsen: „PEER GYNT". Przekł. J. Kasprowicza.
„ 23. „ „ „BRAND". Przekład J. Kasprowicza.
„ 24. Z. Krasiński: „NIE-BOSKA KOMEDJA"
„ 25. J. Słowacki: „LILLA WENEDA"

Nr. 26. J. U. Niemcewicz: „POWRÓT POSŁA“
„ 27. J. I. Kraszewski: DZIECIĘ STAREGO MIAST
„ 28. A. Fredro: „ŚLUBY PANIEŃSKIE“
„ 29. W. Syrokomla: „UŁAS“
„ 30. J. U. Niemcewicz: „ŚPIEWY HISTORYCZN
„ 31. J. Słowacki: „JAN BIELECKI“
„ 32. F. Schiller: „DZIEWICA ORLEAŃSKA“
„ 33. A. Asnyk: „ALBUM PIEŚNI“
„ 34. C. K. Norwid: „KRAKUS — WANDA“
„ 35. J. Słowacki: „BALLADYNA“
„ 36. J. Korzeniowski: „KARPACCY GÓRAL
„ 37. J. Słowacki: „OJCIEC ZADŻUMIONYCH
„ 38. St. Wyspiański: „WARSZAWIANKA“
„ 39. St. Witkiewicz: „MICKIEWICZ JAKO LORYSTA“
„ 40. K. Ujejski: „SKARGI JEREMIEGO“
„ 41. A. Mickiewicz: „DZIADY“
„ 42. J. Kochanowski: „PIEŚNI“
„ 43. S. Pellico: „MOJE WIĘZIENIA“
„ 44. J. Kochanowski: „ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH“
„ 45. A. Mickiewicz: „BALLADY I ROMAN
„ 46. A. Mickiewicz: „SONETY I SONETY KRYMSKIE“
„ 47. J. Kochanowski: „POEMATY“
„ 48. K. Brodziński: „O KLASYCZNOŚCI I MANTYCZNOŚCI“
„ 49. K. Brodziński: „O NARODOWOŚCI PO KÓW“
„ 50. J. I. Kraszewski: „PAMIĘTNIK MROCZ

———